Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

Rok VIII — Warszawa, dn. 21. VII. 1951 r. — Nr 29 (311)

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

„Młode Pokolenie Chłopów" czytane na nowo

Szukanie drogi do własnego narodu. To był niewątpliwie problem, który nurtował niejednego intelektualistę polskiego w latach międzywojennych. Nie było jednak zupełnie zrozumienia, że droga ta prowadzi nieuchronnie przez rewolucję społeczną, przekształcającą klasową strukturę Polski i rozrywającą klasową izolację polskiej inteligencji uniwersyteckiej. I to był tragizm tego pokolenia.

W referacie wypowiedziano szereg uwag o „Młodym pokoleniu chłopów". Kompleks zagadnień teoretycznych i metodologicznych, jaki się wiąże z tą pracą, jest bardzo duży. Nie ma możności ich tutaj omówić. Tylko niektóre sprawy mogą tu być poruszone. Przede wszystkim umiejscowienie tej publikacji wśród prądów nurtujących inteligencję lat międzywojennych.

„Młode pokolenie chłopów" zrodziło się z problematyki wyjścia narodu polskiego z okresu „narodu szlacheckiego". Problematyka ta miała dla autora bardzo osobiste aspekty. „Młode pokolenie chłopów" było dla autora przełomowym etapem na drodze odnajdywania społecznego i moralnego sensu własnej pisarskiej i naukowej aktywności. Było wyzwalaniem się z kręgu kosmopolitycznego arystokratyzmu intelektualnego. Było szukaniem po omacku drogi do narodu. Sytuacja uczonego, bytującego poza swoim narodem, jest sytuacją tragiczną. Szukaliśmy wyjścia z tej sytuacji. Szukał go Czarnowski i szukali go inni. Szukaliśmy tej drogi w latach międzywojennych, szukaliśmy w latach okupacji hitlerowskiej, i szukaliśmy jej po wojnie. Szukaliśmy w pojedynkę, sam na sam z sobą, w nurtującym sumienie niepokoju o moralny sens naszego życia. Nie było zwyczaju dzielić się między sobą tymi bolesnymi doświadczeniami. Ale czy nie mamy teraz obowiązku powiedzieć prawdy samym sobie? Czy nie mamy tego obowiązku wobec wielkości przełomowego okresu historycznego, w jakim uczestniczymy? Czy nie mamy tego obowiązku wobec konieczności ustalenia kierunku kształtowania młodego pokolenia Polski Ludowej?

„Młode pokolenie chłopów" było dla mnie osobiście szukaniem drogi do narodu. I tym samym było dla wielu jego czytelników spośród inteligencji i spośród młodzieży chłopskiej, która tę książkę czytała, odnajdując w niej swój własny problem osobisto-społeczny.

Książka ta wśród inteligencji, moim zdaniem, spełniała podwójną rolę: pozytywną i negatywną. Książka ta uświadamiała inteligencję, że zagadnienie świadomości społeczno-moralnej inteligenta polskiego jako członka polskiego narodu, leży w klasowej płaszczyźnie stosunku inteligenta do problemu chłopskiego. W tym względzie książka zostawiała wśród czytelników niepokój, domagający się rozwiązania tego problemu. To była jej strona pozytywna, jakkolwiek z drugiej strony fałszywie odrywała problem chłopski od problemu robotniczego.

Negatywna rola tej książki polegała na tym, że, postawiwszy istotny problem, dawała jego rozwiązanie iluzoryczne, utopijne — zgodne z tradycjami kosmopolitycznej międzynarodówki „dobroci i mądrości", w której Znaniecki („Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości") widział dźwignię historii cywilizacji.

Prawda moich przemyśleń o „Młodym pokoleniu chłopów" polega na tym, że rozwiązanie nie iluzoryczne, nie utopijne, lecz naukowe rozwiązanie problemu mogło być dane jedynie na gruncie rewolucyjnej marksistiwsko - leninowskiej teorii narodu.

Już kiedyś na jednej z przedkongresowych dyskusji Sekcji Humanistycznej powiedziałem, że książki tej nie zrozumie się, jeżeli się nie weźmie pod uwagę faktu, że zrodziła się z niewiary autora w rewolucyjną twórczą rolę historyczną klasy robotniczej oraz w możliwość socjalistycznej rewolucji w Polsce.

Do tego trzeba dodać, że negatywnie zaciążyły na niej niewątpliwie wpływy burżuazyjnej filozofii społecznej. Wyraziły się one przede wszystkim w pojmowaniu klasy w dawnym przedmarksowskim rozumieniu oraz w oderwaniu problemu świadomości społecznej narodu od ekonomicznej bazy społeczeństwa.

Problematyka narodu nowoczesnego nie może być płodnie naukowo traktowana inaczej, jak w ramach marksistowsko - leninowskiej teorii rozwoju społecznego. Rozróżnianie narodów burżuazyjnych i narodów socjalistycznych, czego uczył Stalin, musi stanowić punkt wyjścia naukowej socjologicznej analizy przeobrażeń narodów nowoczesnych. Traktowanie tego zagadnienia w „Młodym pokoleniu chłopów" w innej płaszczyźnie oznaczało poświęcenie najbardziej nowoczesnej marksistowsko - leninowskiej naukowej teorii narodu na rzecz klasowych koncepcji reakcyjnych, odpowiadających interesom burżuazyjno-kapitalistycznej hegemonii.

Choć nie wszystkie jednostronności badań terenowych socjologii burżuazyjnej znalazły wyraz w „Młodym pokoleniu chłopów", zasadnicza problematyka tej publikacji nie wychodzi jednak poza system kapitalistyczny.

Wykracza poza czasowe możliwości naszej dyskusji, ustalenie kwestii, jaką wartość zachowuje ta publikacja, mimo że jest całkowicie przestarzała w swej zasadniczej koncepcji narodu i roli chłopów w jego historycznych przeobrażeniach. Przyznaję, że w stosunku do publikacji o tylu istotnych momentach dla aktualnych przeobrażeń narodu polskiego — rewizja tej publikacji była obowiązkiem autora.

Wznowione po wojnie krytyczne zainteresowanie dla „Młodego Pokolenia Chłopów" przez tygodnik „Wieś", a bez gruntownej rewizji ze strony autora, potęgowało dezorientację intelektualną, przyczyniając się do opóźniania procesu dojrzewania świadomości dziejowej konieczności sojuszu chłopsko - robotniczego — oraz świadomości konieczności socjalistycznej przebudowy wsi polskiej.

Czy my filozofowie i socjolodzy nie mamy obowiązku podsumować historycznego procesu, który się dokonuje naokoło nas i w nas samych? Proces ten ujawnia się coraz wyraźniej. Wielki historyczny proces polskiej rewolucji ludowej wchłania w siebie coraz więcej twórczych, konstruktywnych umysłów polskiej inteligencji. To jest już zjawisko masowe i historyczne, na marginesie którego rozkładają się w historycznym bezsensie intelektualne ośrodki „izolacjonistów".

Czas najwyższy, abyśmy sobie uświadomili, że sprawa polskiej rewolucji socjalistycznej to kryterium społeczno - moralnego sensu naszych poczynań badawczo - naukowych i pedagogicznych. Z tego punktu widzenia nie mogę „nie zdyskwalifikować reakcyjnej społeczno - politycznej tendencji „Młodego Pokolenia Chłopów".

Przed socjologią polską otwiera się pole pracy badawczo - naukowej niezmiernie płodnej i odpowiedzialnej. Jej wielka doniosłość teoretyczna i praktyczna idzie w parze z rewolucyjnością historycznych procesów, jakim podlega naród polski, o którym słusznie mówił niedawno Prezydent Bierut, że obecnie w wyniku rewolucji ludowej „jest o wiele bardziej ogólnonarodowy niż był kiedykolwiek w okresie burżuazyjnym."

Józef Chałasiński

---

*) Nadesłany do redakcji przez rektora J. Chałasińskiego fragment przemówienia wygłoszonego na Podsekcji Filozofii i Nauk Społecznych Pierwszego Kongresu Nauki Polskiej w dniu 30 czerwca 1951 r.

PIOTR CHMURA

Nowe dzieje młodego pokolenia chłopów

Rozmawialiśmy niedawno z Dyzmą Gałajem na temat *powojennego młodego pokolenia chłopów*. Dyzma Gałaj dobrze jest znany czytelnikom „Wsi". On pierwszy w roku 1948 wniósł na łamy naszego pisma sprawę *Godzianowa*, która odtąd z nich nie schodzi i chyba nie zejdzie. Obecnie pisuje stamtąd najmłodsza gwardia, licealiści godzinowscy. Tego lata do tak rozsławionej wsi wyruszyła brygada warszawskich studentów socjologii. Pewnie im Mozga pokaże „historyczny zabytek", chałupinkę glinianą, którą wystawili Gałajowi podczas okupacji, aby uczył młodych i postarzałych Wiciowców, bo wojna przyniesie zmiany, bo będzie inaczej, a oni chcieli w rewolucję wnieść jak największy wkład. Powojenne dzieje Godzianowa czytelnicy poznawali z roku na rok. Było to jakby doświadczalna stacja „Wsi".

Dziś Mozga, który syna „dogonił" na studiach uniwersyteckich, pracuje w spółdzielni produkcyjnej w rodzinnym Godzianowie. Licealistom, którzy pochodzą z okolicznych gmin, wydaje się arką przymierza między dawnymi a nowymi laty. W powiecie otoczyła go już legenda.



A Dyzma Gałaj? Wiekiem nawet młodszy od Mozgi, Gałaj, w roli prorektora, od roku piopiersko organizuje i rozwija nową akademię rolniczą w Olsztynie, teraz stawia tam na nogi Instytut Ekonomii Rolnej. Największą sprawą uczelni jest rejonizacja! Była ta sprawa kiedyś najbardziej śmiałym marzeniem wiciarzy. Poezją, koronującą ich naiwne i dlatego błędne politycznie wyobrażenia o możliwości racjonalnej produkcji rolnej w kapitalistycznej Polsce. Dopiero dziś, w socjaliźmie, ta wizja, przed laty rozwijana półszeptem, jak niedościgły ideał, dziś dopiero przemienić się może w krew i ciało.

Wspominałem Gałajowi o młodzieży wiejskiej z pinczowskiego, jaką znałem z tajnych kursów gimnazjalnych w okresie okupacji. Pamiętam ich, kiedy jeszcze byli dziećmi, pamiętam jak rośli, jak się żarliwie uczyli, jak z książką i pepeszą przeżyli rok 1944, kiedy „powstaniem pińczowskim" zostało zgotowane wspaniałe, zbiorowe powitanie nadciągającej Armii Czerwonej. Powstanie wybuchło tuż za pierwszą linią frontu niemieckiego. I spotkali się i witali z pierwszymi oddziałami radzieckimi. Front się jednak cofnął i młodzież w zagrożeniu doczekać musiała jeszcze do stycznia 1945 r. A potem, w 1945 i 46 r., ci pierwsi, którzy złożyli maturę, chłopcy i dziewczęta, opowiadałem Gałajowi — czy dasz wiarę, dokąd powędrowali na studia? Do Wrocławia. O tym się najmniej wspomina. A przecież wraz z osiedleńcami ciągnęła młodzież z różnych stron kraju po naukę, ciągnęła w tych samych dniach, kiedy robotnik dopiero dźwigał fabryki z ruin, kiedy je dopiero uruchamiał.

O tym nurcie wiary w Nową Polskę, w jej geografię, wracającą ojczyźnie ziemie piastowskie, zapominamy najczęściej. A miał on i zachowa wymowę historyczną. Moje podrostki z pinczowskiego, które znały ledwie Pińczów, Busko i Kazimierzę porwały się na wyjazd do dalekiego Wrocławia. Dlaczego aż tam? Bliżej był Kraków, Łódź, Warszawa (choć zniszczona, ale i Wrocław stał w ruinach). To był skok wyobraźni nowego pokolenia, przeczucie w nowej przestrzeni nowych dziejów ojczyzny, nowych możliwości dla chłopskich dzieci. Kiedy ich pytałem, najczęściej odpowiadali, że stare uczelnie jeszcze budziły w nich lęk. Do zniszczonego i dalekiego Wrocławia nie pojadą synowie panów i burżujów. Tam najpierw ruszą tacy, jak my, robotnicza i chłopska młodzież. Czujemy to i dlatego jedziemy. Będziemy pionierami, trudności nas nie straszą, byle uczelnia była nasza, robotniczo - chłopska. Można by dodać, co też na jedno wyjdzie, że Krakowa czy Poznania wstydzili się. A Wrocławia w ruinach — nie! Tam przyjdą ludzie pracy, tam przyjdą nasi ludzie, tam się będzie ceniło wysiłek i zdolności, tam, kiedy się weźmie udział w odbudowie i dźwignięciu wielkiego miasta do nowego życia — zdobędziesz bracie najlepszą legitymację obywatelstwa. Będzie to twoje miasto i twoja uczelnia.

Gałaj, który słuchał moich wspominek i przytakiwał milcząco, wyciągnął teraz jakąś teczkę i spośród formularzy i papierów wydobył cząstkę, był to życiorys studenta akademii rolniczej, E. M., obecnie młodszego asystenta.

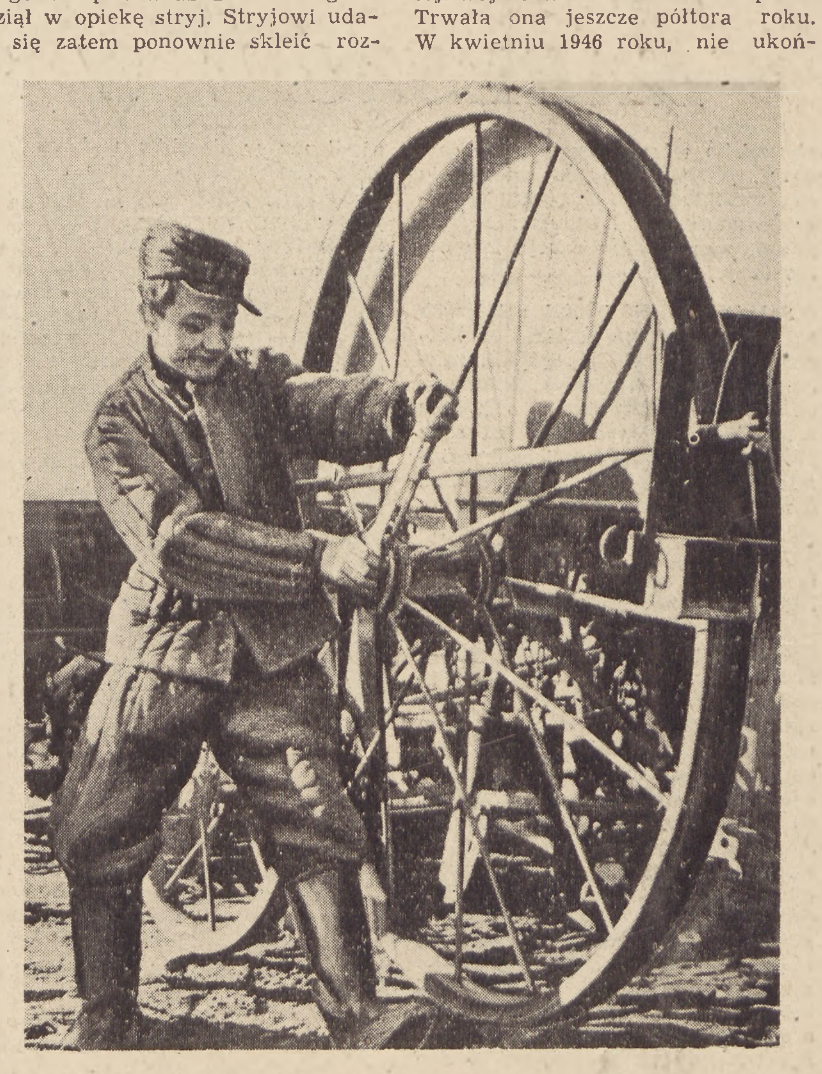
— Przeczytaj ten życiorys. Zawiera o wiele bardziej bogate dzieje. W tym życiorysie rozpiętość wędrówek obejmuje: lubelskie, szczecińskie, rzeszowskie i olsztyńskie. A była to wędrówka nieustannego wzrostu, nieustannego wzmagania się sił rewolucji. Ci, o których opowiadałeś, dobiegli w pińczowskim do matury i do 18—20 roku życia. Dla nich najpilniejszą sprawą było zaczepić się natychmiast o wyższe studia. Szczęśliwa edukacja tajna z okresu okupacji, edukacja na miejscu, w warunkach wiejskich, wydawała się im najczęściej dopiero połową dzieła, połową zwycięstwa. Za bardzo powiodło się z tą nauką, aby doświadczenie społeczne sprzed wojny, czerpane od ojców i otoczenia nie budziło w nich niepokoju o jutro. Czy pójdziesz chłopie z maturą dalej? Stąd ich gorączkowe a równocześnie naiwnie skrupulatne obliczenia startu na uniwersytet. Oni pierwsze lata nowej Polski przeżyli na uczelni w obkuwaniu i dorabianiu na życie. Było to bardzo cenne z jednym poważnym brakiem: życia zaczęli się uczyć o wiele później.

Życiorys, jaki ci daję do przejrzenia — pokazuje odwrotną drogę, od życia, od doświadczeń społecznych do wyższej uczelni. Kiedy nadeszło Wyzwolenie chłopak miał 15 lat. Te młodsze roczniki miały bujniejsze dzieje. Bardziej je przeorała rewolucja, najczęściej szli w górę z awansu społecznego, z pracy, przodownictwa i działactwa.

*

Co można wyczytać z tego życiorysu, skreślonego protokólarnie, jak to zwykle bywa w załącznikach do uniwersyteckich papierów? — osądzi sam czytelnik.

E. M. urodził się na Lubelszczyźnie, w roku 1930. Dziadek miał się jeszcze dobrze na 20 morgach. Ale już ojciec (jeden z trzech braci) dziedziczył tylko 6 morgów i nie szło. W latach kryzysu umarła matka, ojciec w „trzy roki" później. Zasypała go żywcem skarpa, gdy dorabiał kopaniem gliny i paleniem cegły na budowę plebanii. Pięcioletniego chłopca wraz z 6 morgami wziął w opiekę stryj. Stryjowi udało się zatem ponownie skleić rozparcelowaną przez dziadka gospodarkę. Miał swoich 6 mórg, po najmłodszym bracie, którego dziadek wyuczył na prawnika a ten się przynależnej mu ziemi zrzekł — nowych 6 mórg, z dożywocia dziadka — 2 morgi i teraz niespodziewanie przybyła arenda na 6 mórg. Łatwo się domyśleć, że ta arenda dla naszego bohatera niosła w sobie jak chmura nieuniknioną burzę.



Stryj miał czworo dzieci. Najstarszy chłopak był rówieśnikiem sieroty. Ciężar pomocy w polu spadł na sierotę. Wcześniej też od innych chłopców nauczył się dobrze orać. Edukację rozszerzyły książki ze szkolnej biblioteki, ukrywane u stryja oraz wyjazdy z kontygentem do powiatowego miasteczka. W 1944 r. w Rzeczypospolitej Lubelskiej, stryj pchnął swego syna do pierwszej gimnazjalnej. Nasz bohater, który go odwoził na egzamin, wrócił również jako uczeń, przyjęty do klasy drugiej. Ten manewr chłopca zaskoczył stryja. Arendy, którą od lat przywykł uważać za swoją, wypadło teraz bronić już w otwartej wojnie z 15-letnim chłopcem. Trwała ona jeszcze półtora roku. W kwietniu 1946 roku, nie ukończywszy pełnych trzech klas, nasz sierota ucieka w świat. Kierunek? PNZ-ety i spółdzielnie osadnicze. Z Poznania (gdzie znajdowało się główne biuro PNZ) skierowano go do woj. Szczecińskiego. Tam na majątku przebył rok czasu.

Przydzielono go do grupy młodych traktorzystów, chłopaków rubasznych, popijających wódkę ale w robocie sprawnych i chłopca od nich o dobre pięć lat młodszego, traktujących jak równego im. Ludzi było jeszcze mało na majątku i w okolicy do wynajęcia więc i rygor „karbowi" i rządcy trzymali ostry. Ale jego potrzebę pracownicy rozumieli. Wszyscy tu po trosze przeżywali poezję „nowego lądu". Ziemia na wielkich przestrzeniach czekała na maszyny, konie i ludzi. W dzień porywała nie mniej, niż wieczorem wódka. Granica dobrowolnej ochoty do pracy była tu wcale daleko przesunięta. Brygadziści i ludzie majątku nowi, przybyli z różnych stron, oddychali, mimo zarządu, władz i karbowych, powiewem wolności, jaki niosły nowe czasy. Byli faktycznie pionierami, grupą, która miała opanować niemały szmat ziemi. Za ich plecami na starych ziemiach, w głębi kraju, gazety opisywały na dwieście sposobów zasługi, wagę i znaczenie takich ludzi. Był to rok 1946, kiedy na Zachodzie Bevin i Churchill kwestionowali naszą granicę na Odrze i Nysie, kiedy Mikołajczyk przez Ministerstwo Rolnictwa lokował i tolerował w zarządach PNZ-tów byłych dziedziców i dawnych administratorów. Kiedy w najbliższych miesiącach miał się odbyć powszechny plebiscyt narodowy. Prości, dziarscy ludzie, o „szerokiej naturze" dobrze rozumieli, że jedno z „trzech razy tak" odnosi się nie tylko do samej ziemi odzyskanej ale i do nich i od ich pracy i dorobku zależy.

Nie chcemy poetyzować. Rzeczywistość w gruncie rzeczy przewyższyła poezję. Ludzie tu nie deklamowali ale harowali. Rozmiar zadań, rozmiarem ziemi mierzony, każdemu ukazywał z grubsza wielki plan. Co i ile trzeba zrobić wiedziało się jasno. Polityczna dywersja, operująca zastraszaniem i budzeniem wątpliwości i wahań, nie cofnęła ludzi tu uczących się wolności. Towarzysze naszego sieroty, jacy byli, to byli, ale chłopca niepokojem nie zrażali. Przeciwnie, dali mu posmakować wielkiej przestrzeni, wielkich robót i nowej techniki.

Awansowali go na „kolegę" z patriotycznej i klasowej potrzeby wtajemniczenia nowego przybysza, (chociaż był nim ledwie chłopczyna) w nową ziemię, jako polską i ludową. Gdyby szukać argumentu, oświetlającego powagę i świadomość polityczną ich pionierskiej pracy, w tym właśnie „koleżeństwie" macie go, jak na dłoni. Chłopaka ustawili na przyczepie traktora i pojechał siać jęczmień. Zobaczył, że to inna robota niż u stryja, „dobrego gospodarza" na niemałej ziemi. To chcieli mu właśnie pokazać towarzysze, nazywający siebie imionami traktorów. Taką lekcję nowego odbył u „Buldoga". Potem pchnęli go z bronami, potem do sadzenia kartofli, wreszcie do rzepaku. Obleciał przestrzeń, uprawy i maszyny.

Najbardziej przylgnął do starego towarzysza partyjnego, z którym razem przyjechali na majątek z Poznania. Ten przed laty pracował na Śląsku, za organizowanie strajków przesiedział kilka lat w więzieniu, potem wraz z rodziną przeniósł się na wieś w kieleckie. Miał niedokończone gimnazjum.

(dokończenie na str. 7)

MARIA JANION

O TADEUSZU BOROWSKIM

„Świat jest tak wielki i tak bogaty, a życie tak różnorodne, że nigdy nie zbraknie powodów do wierszy. Muszą to być jednak wiersze okolicznościowe, to znaczy, że rzeczywistość musi być tu materiałem i pobudką. Wszystkie moje wiersze są to wiersze okolicznościowe...“ — tak ujął kiedyś tajemnicę piękna i trwałości literatury wielki „Olimpijczyk“ — Goethe. „Pisarstwo okolicznościowe“, pisarstwo walczące, związane z najżywotniejszymi problemami epoki, dziś mówimy — pisarstwo polityczne, albo — sięgając do najszczytniejszego kryterium oceny, zrodzonego z wielkości naszego czasu — pisarstwo partyjne.

Epoki takie jak nasza, czasy wielkiego przełomu, zapowiadającego widomie szczęśliwe jutro ludzkości, potrzebują i wydają jednak więcej niż „pisarzy okolicznościowych“ — wychowują bojowników, walczących w pierwszej linii frontu literatury i frontu życia. Z frontu tego odszedł niedawno tragicznie zmarły Tadeusz Borowski.

Tadeusz Borowski, jeden z najwybitniejszych pisarzy młodego pokolenia, był z pewnością wśród nich najżarliwszy w poszukiwaniu prawdy naszego czasu i w namiętnej pasji walki o nią. Cała jego działalność pisarska była wcieleniem walk i trudów współczesności, nurtujących ją problemów i kierujących nią idei; każdy jego utwór stanowił płomienną, bojową odpowiedź, dotyczącą najistotniejszych spraw życia naszego narodu. Nie było książki czy artykułu Borowskiego, który by nie wywołał natychmiast ożywionej dyskusji, zataczającej coraz szersze kręgi i stanowiącej o przyszłym rozwoju naszej literatury. Wokół wstrząsających stron „Pożegnania z Marią“ rozwinęła się twórcza dyskusja, dotycząca kryteriów oceny faszyzmu; „Opowiadania z książek i gazet“ stały się punktem wyjścia dla kampanii o nowe miejsce publicystyki w literaturze realizmu socjalistycznego. Artykuły o satyrze i karykaturze politycznej, o „pisarzu w terenie“ i „pracy młodego pisarza“, o własnej drodze pisarskiej („Rozmowy“) wywoływały najżywszy ferment w środowisku literackim i pobudzały do płodnych poszukiwań ideologicznych. Wreszcie nie było artykułu z „niemieckiego notatnika“ Borowskiego, który by, przełamując zastarzałe opory i zmuszając do twórczego przewartościowania dawnych pojęć, nie uczył zarazem nowego stosunku: braterstwa i przyjaźni dla Niemiec demokratycznych.

*Każdy jego utwór godził wprost, bezpośrednio w serce największego przeciwnika ludzkości, któremu mówił w ślad za poetą: „...faszysto, wrogu mój śmiertelny“. Artykuł każdy z uporem i dobitnością wielkiego publicysty, podejmującego największy problem współczesności, zaczynał od katońskiego „caeterum censeo“: imperializm musi zginąć! Zarazem jednak podniety do wspaniałego optymizmu naszej epoki czerpał ze stwierdzenia: „Nasz wiek **XX** nie jest tylko wiekiem gnicia burżuazji. Nasz wiek **XX** jest wiekiem wyzwolenia klasy robotniczej całego świata, wiekiem samostanowienia i niepodległości narodów kolonialnych i kolorowych... W zwierciedle naszego wieku śladu nie zostanie po zbrodniczym obliczu kapitalizmu. Nasz wiek **XX** przechowa w sobie mądre i tchnące odwagą oblicze wolnego człowieka“.*

O teraźniejszość i przyszłość tego wolnego człowieka walczył bez wytchnienia. Jego orężem w tej walce były najwznioślejsze idee epoki stalinowskiej: patriotyzm i internacjonalizm proletariacki, płomienna i bojowa partyjność komunistyczna. Były to zarazem najpiękniejsze cechy wybitnej osobowości pisarskiej Borowskiego, cechy twórcy i ideologa czasu zwycięstwa proletariatu.

Bogate doświadczenie życiowe warunkowało rozwój i dojrzewanie Borowskiego — pisarza i publicysty. W tym doświadczeniu nie zabrakło ani jednego z najważniejszych elementów naszej współczesności. Nie zabrakło przede wszystkim wstrząsających doznań „czasu pogardy“, krzywd i potwornych zbrodni faszyzmu. Więzień nr. 119198, z obozów Oświęcimia i Dachau wyniósł potężną, przepełnioną czujną wrażliwością na upodlenie człowieka, gorzką nienawiść do nieludzkiego świata faszyzmu. Ta szlachetna nienawiść, stająca w obronie człowieczeństwa, stała się w przyszłości motorem jego twórczości literackiej.

Opowiadania z tomu „Pożegnanie z Marią“ odsłaniały przerażonym oczom bestialskie oblicze faszyzmu, demaskowały zbrodniczość jego metod, ohydę jego moralności, zgłębiały bezlitośnie straszliwe dno zgnębienia i poniżenia człowieka oraz cynizm jego oprawców. Borowski ukazywał z całą bezwzględnością jak bezradna była wobec zwyrodnienia faszyzmu moralność mieszczańska, jak w świecie okrucieństw i zbrodni załamywał się i upadał każdy człowiek, który nie znalazł



oparcia w idei walki. Faszyzm niemiecki stawał przed bezlitosnym sądem pisarza, który oskarżał w imieniu setek tysięcy więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, który wskazywał ich namiętne przedśmiertne pragnienie, aby ludzkość zapamiętała zbrodnie na nich popełnione i aby je pomściła. Tak przemawiało do czytelnika „Pożegnanie z Marią“. Zarazem w opowiadaniu „Bitwa pod Grunwaldem“ Borowski z zadziwiającą przenikliwością ukazał zjawiska, które miały ostatecznie przyśpieszyć przemianę antyfaszystów „dobrej woli“ w świadomych bojowników o komunizm. Obraz Niemiec okupowanych sygnalizuje tożsamość metod zwycięskiego amerykańskiego imperializmu i pokonanego faszyzmu niemieckiego, zapowiadając sojusz, którego naocznymi świadkami jesteśmy od kilku lat. Ten dowód politycznej przenikliwości świadczył o bystrości spojrzenia przyszłego autora „Opowiadań z książek i gazet“, bezlitosnego demaskatora „demokratów“ zza Oceanu. „Pożegnanie z Marią“ podejmowało także dyskusję ideologiczną z „karmelkowym, oleodrukowym i bogoojczyźnianym“ (jak to słusznie określiła krytyka) obrazem życia pod obuchem faszyzmu, jaki przekazywała m. in. „Alicja w krainie czarów“ — Zofia Kossak-Szczucka.

Tom opowiadań Borowskiego wydany w roku 1948 formułował krytykę „czasów pogardy“ z pozycji antyfaszystowskich. Borowski zbyt silnie związany był jednak z rzeczywistym tokiem dziejów, aby wkrótce nie dostrzec całej ograniczoności wyłącznie moralistycznego, nie odsłaniającego klasowego oblicza faszyzmu, protestu przeciwko ponuremu światu obozów koncentracyjnych. Tak zarysował się następny etap jego drogi ideologicznej, która przebiegała według formuły, jaką określił życie swego niemieckiego przyjaciela: „Był tylko antyfaszystą, ale pewnego dnia, gdy Amerykanie rozpędzili wiec byłych więźniów w Dachau, zrozumiał, że trzeba być komunistą“. W 1948 roku Borowski wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej. Z okresu doświadczeń faszyzmu wyciągnął właściwe, rewolucyjne wnioski.

Szczególnej wymowy nabrał na tym tle fakt, że właśnie pisarz więziony i torturowany przez hitlerowskich przestępców tak głęboko i gorąco pojął słowa Stalina o narodzie niemieckim, który pozostaje, gdy odejdą deprawujący go führerzy. Borowski stał się jednym z pionierów idei braterstwa Polski Ludowej i Niemiec Demokratycznych. Jako jeden z pierwszych publicystów Borowski zabiera się do wyplenienia „kompleksu niemieckiego“ w świadomości Polaków, uczy rozróżnienia pojęć „Niemiec“ i „imperialista niemiecki“, „junkier czy kapitalista niemiecki“, „hitlerowiec“. Jego publicystyka, poświęcona sprawie niemieckiej, przepojona głębokim internacjonalizmem i gorącym umiłowaniem idei socjalizmu, stanowi jedną z najdojrzalszych kart w dorobku literackim Borowskiego. Pozostanie ona wśród najwybitniejszych osiągnięć polskiej publicystyki politycznej.

Doświadczenia z okresu faszyzmu pozwoliły Borowskiemu wyciągnąć najistotniejsze dla współczesności wnioski. Jako jeden z podstawowych punktów swego programu pisarskiego wysunął on walkę z imperializmem, który przecież rodzi „co dzień, co godzina“ — faszyzm W „Rozmowach“ pisał: „Wydaje mi się, że miałbym teraz siły, aby wszystkimi sposobami przykładać się do walki z imperializmem: pamfletem i paszkwilem, reportażem i wywiadem, felietonem i essejem. Nie chcę zrezygnować z żadnego ciosu, który można zadać“. Realizacją tego stanowiska były wydane pod koniec roku 1949 „Opowiadania z książek i gazet“.

Najlepszą miarą partyjnego pisarstwa Borowskiego może być jego zainteresowanie dla bojowej publicystyki socjalistycznej, dla jej bogatych form literackich, które umiał z takim mistrzostwem stosować we własnej twórczości. Opanował najsubtelniejsze odmiany publicystycznej sztuki pisania, którą nazywał „retoryką naszych dni“. Istotnie — nie zrezygnował z żadnego ciosu, który można było zadać gnijącej kulturze imperializmu, z żadnej okazji, w której mógł przygwoździć kłamstwa burżuazji.

Szeroką swą kulturę literacką, głęboką znajomość najlepszych narodowych tradycji bojowej publicystyki i satyry postępowych okresów naszej literatury, Borowski wzbogacał i przekształcał doświadczeniem epoki socjalizmu, twórczym przyswojeniem osiągnięć literatury radzieckiej. Wiele z jego artykułów publicystycznych stanowić może — wbrew pewnym niesprawiedliwym grymasom krytyki — szkołę pisarskiego realizmu. Uczyły one politycznej przenikliwości, celności w demaskowaniu wroga klasowego, płomiennej bojowości w walce o lepszy świat. Publicystyka Borowskiego nie była jednak nigdy martwym i schematycznym wyliczaniem politycznych prawd. Odznaczała się ona klarownością i plastycznością obrazu artystycznego, dobitną metaforyką, erudycyjnym bogactwem myśli, czystym i giętkim językiem. Była to „publicystyka artystyczna“, dotrzymująca kroku prozie i poezji. Borowski takiej publicystyce wyrobił jedno z zaszczytnych miejsc w nowej polskiej literaturze realizmu socjalistycznego.

Książka Borowskiego o „szaleństwie świata kapitalistycznego“ stała się zarzewiem twórczej dyskusji wokół wielkiej sprawy publicystyki. Jej znaczenie leży właśnie w tym, że ukazała nowe możliwości literatury polskiej.

„Opowiadania z książek i gazet“, pełne odrazy i nienawiści do „nocy amerykańskiej“, zawierają zarazem gorący manifest miłości do człowieka i wiary w jego przyszłość. W szkicu „Eppur si muove!“ — przeciwko klerykalnej ciemnocie, imperialistycznemu zezwierzęceniu — pisarz woła: „Żegluj, Ziemio, po szlakach Wszechświata, wielka, piękna, wspaniała Ziemio! Nigdy nie byłaś ojczyzną tyranów i inkwizytorów. Byłaś zawsze Ziemią Koperników, Galileuszów i Einsteinów.“ Ten optymizm, płynący ze zwycięskiej siły i bohaterstwa proletariatu, stanowił nieodłączną cechę pisarstwa Borowskiego. Decydował on także o jego aktywnym i płodnym udziale w wszechświatowej walce o pokój. Tej walce poświęcił swe pióro Borowski bez zastrzeżeń. Nie było w nim ani grama fałszywego wstydu estetów, bojących się skalać swe pisarstwo wśród nadto już „publicystycznych tematów“. Napisał świetną broszurę skierowaną do młodych agitatorów pokoju. Ze swojej trybuny walki o pokój — „małej kroniki“, zamieszczonej przez rok w „Nowej Kulturze“, Borowski co tydzień konkretnie i rzeczowo omawiał poszczególne etapy i wydarzenia tego najszczytniejszego boju, jaki prowadzi dzisiejsza ludzkość. O pokój walczył jednak nie tylko bronią publicystyki, także i żywym słowem głosił nieubłaganie zagładę ludobójczej cywilizacji podżegaczy wojennych.

Wynotowanie kilku tylko wyżej wspomnianych faktów wskazuje, że Borowski nie był nigdy „pisarzem zza biurka“. Był także mądrym i przenikliwym działaczem społecznym, dokumentującym własnym życiem komunistyczną jedność teorii i praktyki. Na wszystkich zjazdach literackich, w wielu redakcjach, na licznych zebraniach słyszano jego rady i wskazówki, jego bezkompromisowe oceny. Jego entuzjazm i zapał w walce o nową literaturę udzielał się wszystkim. Był troskliwym opiekunem i cierpliwym wychowawcą najmłodszej kadry literackiej, czujnym doradcą swoich kolegów po piórze. Wśród najpiękniejszych cech jego charakteru dominowała życzliwość dla ludzi, troska o ich życie i pracę.

Borowski oddał swój wielki talent i płomienne serce bojownika na usługi Polski Ludowej. Bezgraniczne umiłowanie Narodu i Partii cechowało każde jego wystąpienie. Doniosły i twórczy jest jego wkład w rozwój literatury realizmu socjalistycznego. Wśród pionierów i twórców tej literatury imię jego pozostanie na zawsze.

MARIA JANION

BOGDAN SUCHODOLSKI

NARESZCIE W SŁUŻBIE NARODU

Zadaniem naczelnym rocznych prac przedkongresowych i samego Kongresu Nauki Polskiej było dokonanie przełomu, który by sprawił, że nauka polska dorówna kroku wielkim społecznym przemianom w dziejach naszego narodu, że wypełni nowe i wielkie obowiązki, które w zakresie wychowania człowieka i przekształcenia gospodarki na niej spoczywają.

Jednym ze składników tego przełomu było powołanie uczonych do służby dla narodu. Samo hasło nie jest nowe. Postępowa nauka polska formułowała je już dawno. Już St. Staszic, prezes Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, wskazywał, iż „umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czczym tylko rozumu wywodem albo próżniactwa zabawą, dopokąd nie są zastosowane do użytku narodów“. Słowa Staszica umieszczono na zaproszeniach kongresowych, widniały one również na sali obrad, były obecne w umysłach wielu uczestników.

Ale hasło Staszica, sformułowane w samych początkach kształtowania się układu kapitalistycznego w Polsce, w okresie, w którym miał on — prowadząc walkę z ustrojem feudalnym — dość liczne elementy postępowe, nie mogło być realizowane w warunkach kapitalizmu, zwłaszcza w okresie jego pełnego rozwoju. Stało się właśnie jednym z osiągnięć prac przedkongresowych wykazanie, jak w poszczególnych dziedzinach naszego życia — szczególnie w okresie imperializmu — kapitalizm wyniszczał narodową gospodarkę, jak eksploatował człowieka, i jak w wyniku tej drapieżnej eksploatacji ziemi i ludzi niweczył wysiłki najlepszych uczonych, pragnących służyć narodowi, wprzęgał innych w jarzmo służby klasie panującej.

W referacie Sekcji Nauk o Ziemi czytamy: „W krajach kapitalistycznych poszczególne działy nauk o ziemi rozwijają się nierównomiernie i bezplanowo. Kierunki badań naukowych i problematyka nauki zależą od koniunktury i sprzecznych nieraz interesów kapitału... przy tym postawa ideologiczna poszczególnych uczonych bywa często aspołeczna. W wyniku tego często nie interesuje ich ani cel, ani kierunek, w jakim wyniki badań ich zostaną zużytkowane... W krajach kapitalistycznych praca naukowa, zmierzająca do pełnego opanowania, a nawet przeobrażenia środowiska geograficznego jest niemożliwa z powodu przeciwieństw interesów indywidualnych, stosunków własnościowych i gospodarki, prowadzonej dla osiągnięcia maksymalnych zysków, choćby kosztem naruszenia i zaburzenia praw przyrody oraz rabunkowego wyniszczenia jej zasobów.“

Sekcja biologii i nauk rolniczych stwierdza: „Kryzys rolniczy (w Polsce międzywojennej) pogłębiał jeszcze nędzę mas chłopskich, natomiast obszarnikom kazał mówić o „klęsce urodzaju“, co pociągało za sobą zmniejszenie nakładów i brak zainteresowania dla postępu produkcji, a więc i dla wyników nauki. Na tle ówczesnej rzeczywistości ekonomicznej i politycznej staje się zrozumiałe malejące znaczenie nauk rolniczych.. nie znalazły warunków rozwoju ani nauka o uprawie roli ani badania nad bilansem wodnym, ani mikrobiologia gleby, ani badania nad płodozmianem, ani fizjologia roślin uprawnych... wszechstronny rozwój nauk rolniczych, leśnych, ogrodniczych, weterynaryjnych nie był ówczesnemu rządowi potrzebny, co więcej nie był w ówczesnym ustroju ekonomicznym możliwy.“

Referat Sekcji chemii i technologii chemicznej wylicza długą listę obcych koncernów kapitalistycznych, gospodarujących w międzywojennej Polsce i stwierdza: „polskiego inżyniera i naukowca w zupełności lub prawie w zupełności wyłączono z udziału w pracach badawczych i konstrukcyjnych w większości dużych zakładów przemysłowych naszego kraju.“

Referat Sekcji energetyki i elektrotechniki stwierdza, iż „fakt powstrzymywania u nas przez kapitał samodzielnego postępu nauki i techniki nie ulega wątpliwości. Dewizą stosowaną w Polsce przez kapitał było osiągnięcie jak największego i jak najprędszego zysku przez inwestowanie możliwie małych środków... jakaś niewidzialna ręka powstrzymywała skutecznie rozwój całości przemysłu, jak również biur konstrukcyjnych, urządzeń technicznych, instytutów badawczych.“

Sekcja budowy maszyn i technologii mechanicznej rejestruje liczne przykłady badawczych i konstrukcyjnych wysiłków polskich uczonych, zmarnowane przez ówczesne warunki. „Biuro studiów i konstrukcji Państwowych Zakładów Inżynierii ma w dorobku wykonanych kilka typów samochodów ciężarowych i pojazdów specjalnych oraz jeden typ samochodu osobowego i trzy typy motocykli. Kiedy produkcja tych pojazdów mogła być wykonywana już w dużych seriach, rząd sanacyjny zawierał w tym czasie umowę równocześnie z trzema koncernami zagranicznymi na montaż samochodów obcej konstrukcji w Polsce.“

W podobny sposób charakteryzowano sytuację w obradach i studiach innych Sekcji. Staszicowska zasada, by „umiejętności służyły narodowi“ może być urzeczywistniana tylko w warunkach socjalizmu, w warunkach, w których naród jest rzeczywistym gospodarzem na swej ziemi. Zniweczenie panowania obcego i rodzimego kapitału, likwidacja wielkiej własności rolnej, przejęcie przez Państo Ludowe kierownictwa całego życia gospodarczego i polityka planowego rozbudowywania narodowej gospodarki — wszystko to stanowi zespół warunków, stawiających przed nauką polską nowe, wielkie, odpowiedzialne zadania. Główny wysiłek w obradach specjalistów zmierzał właśnie do zarejestrowania najpilniejszych potrzeb badawczych w różnych zakresach i ustalania hierarchii ich ważności. „Obecnie głównym zadaniem nauk o Ziemi — czytamy w sprawozdaniu — jest świadome włączenie się w prace zmierzające do budowy socjalizmu w Polsce, umożliwienie i przyśpieszenie tego procesu.“. Biologowie stwierdzają: „Przebudowa zacofanego, drobnotowarowego rolnictwa w rolnictwo współczesne, wysoko produkcyjne, uspołecznione, otwiera nauce tak duże możliwości pracy doświadczalnej, jak i sprawdzania osiąganych wyników w praktyce, jakie nigdy dla naszej nauki nie istniały.“ Podobnie referat Sekcji budowy maszyn i technologii mechanicznej głosi: „Po wyzwoleniu wytworzyły się u nas warunki szczególnie sprzyjające rozwojowi nauk związanych z budową maszyn i technologią mechaniczną“ i wylicza najpilniejsze zadania badawcze. „Nowy ustrój Polski — piszą medycy — stawia zagadnienie medycyny na zupełnie innej platformie... problematyka planu na obecne 6-lecie stanęła już, względnie stanie przed naszymi naukowcami, tak bardzo bogata, jak rozległe są potrzeby naszego życia, naszej służby zdrowia.“

Procesowi uświadomienia, iż przed naukami przyrodniczymi i technicznymi stanęły w Polsce Ludowej nowe i wielkie zadania, towarzyszyła świadomość, iż zadania te mają charakter głęboko humanitarny. Osiągnięcia naukowe w społeczeństwie socjalistycznym nie stają się ani narzędziami wyzysku ani narzędziami wojny i zniszczenia. Służą one jako oręż w walce z przyrodą o podniesienie poziomu życia, o wzrost dobrobytu, o lepsze zdrowie, o postęp wszelkiego rodzaju. W wielu sekcjach wskazywano, jak kapitalizm, zwłaszcza w fazie imperializmu, wprzęga uczonych w służbę polityki wojny i eksploatacji — i tylko likwidacja kapitalizmu może zapewnić uczonym pełne zużytkowanie społeczne ich pracy.

Hasło nauki w służbie całego narodu ma sens — oczywiście — nie tylko w zakresie nauk przyrodniczych i technicznych. Ma ono sens również i w zakresie nauk społecznych, humanistycznych, ekonomicznych. W tych zakresach sens ten jest szczególnie rewolucyjny. Nauki te bowiem należą do nadbudowy w znacznie większym stopniu, niż nauki przyrodnicze i techniczne, wobec czego zmiana bazy stanowi dla nich punkt wyjścia procesu bardziej zasadniczej przemiany. „To, co nazywamy ogólnie humanistyką — stwierdza referat tej sekcji — zawiera w sobie jako najważniejszą część składową ideologię: poglądy filozoficzne, prawne, estetyczne, moralne. Humanistyka staje więc wyraźnie — wbrew pozorom swego oderwania — w ogniu walki klasowej.“ Tworzenie nowej bazy, bazy socjalistycznej, wymaga radykalnego zrewidowania nauk humanistycznych, budowanych w dobie kapitalizmu, wymaga głębokiego przekształcenia postawy uczonego, który ma odtąd służyć swą pracą socjalistycznemu narodowi. „Teza o przynależności humanistyki, w jej części najważniejszej, do nadbudowy społeczeństwa, a więc teza o jej klasowym charakterze, niezwykle ostro stawia problem stosunku do tradycyjnej humanistyki, a tym samym i problem jej radykalnej przebudowy w duchu potrzeb nowego społeczeństwa.“

Bojowy aktyw uczonych — marksistów wykazywał fałszywość tradycyjnej koncepcji nauki, jako działalności apolitycznej i autonomicznej, wskazywał społeczno - polityczną treść doktryn pozornie zupełnie oderwanych od życia, demaskował złudne przekonania burżuazyjnych uczonych, iż mogą oni stać ponad toczącą się walką klasową. I równocześnie aktyw ten formułował postulaty naukowe, które muszą być spełnione, jeśli humanistyka ma wyzwolić się z tych zależności i uwiązań.

W różnych dziedzinach humanistyki walka ta jest w różnym stopniu zaawansowana. Ale nie było dziedziny, w której nie byłaby ona wydana, dziedziny, w której nie przynosiłaby pierwszych zwycięstw. Kongres podsumował wszystkie osiągnięte zwycięstwa, wskazał drogę dalszej systematycznej pracy. Przed pracownikami naukowymi w dziedzinie polonistyki, sztuki, historii, pedagogiki i psychologii, ekonomii i prawa stanęło wyraźniej niż kiedykolwiek dotychczas zadanie wnikliwego i czujnego zrewidowania tradycyjnych, odziedziczonych w spadku po okresie kapitalizmu, teorii, pojęć, metod badawczych, a nawet zgromadzonych materiałów faktycznych. I wyraźniej niż kiedykolwiek dotychczas stanął obowiązek zrewidowania własnej postawy wobec życia i zadań społecznych, które uczeni mają do wypełnienia.

Prace przedkongresowe i sam Kongres stały się wielką szkołą nowego typu myślenia o humanistyce, o jej przeszłości i jej zadaniach, w dobie tworzenia się narodu socjalistycznego.

BOGDAN SUCHODOLSKI

JAN KOPROWSKI

PEJZAŻ

Obraz odciska się w pamięci:
słońce zachodząc płoszy chmury
znad wzgórz i lasów. Jakże mi żal,
że krok za krokiem noc się zbliża,
do zagród śpieszą senne gęsi
i ziarna porzucają kury.

Człowiek zszedł z pola i w gromadzie
krocząc prostuje swoje kości.
Drogą ich własny cień prowadzi
jakgdy im zalecał pościg.
Ścieżkami, póki jeszcze widno,
topole pędzą z pastwisk bydło.

Stoisz na wzgórzu, gdzie po szynach
przemknął z łoskotem czarny pociąg.
Matka wygląda swego syna,
czy wróci z miasta dziś przed nocą.
Pojechał tam w gromadzkiej sprawie —
niezałatwionej nie zostawi.

Patrzysz wokoło, myślisz: Polska
zbiera się do snu. Noc się łasi.
Błyszczą żarówki — do nich dojść tam,
światło toruje drogi na wsi.
Ktoś wodzi palcem po gazecie,
którą w południe przyniósł listonosz.

„Dwadzieścia nowych gromad w powiecie
ma „światło“ — czyta. Oczy mu płoną.
Cieszy się pamięć, gdy wspominam
ten pejzaż. I powtarzam drżący:
za wcześnie wieczór się zaczyna
i dzień za wcześnie nam się kończy.



TEOFIL KOWALCZYK

Z MOJEGO DZIECIŃSTWA

1

W Miechowskiem była taka wieś,
Krępa — deskami zabita.
Zwano sołtysa zwyczajnie — Grześ,
Co w świecie, Grzesiu, nie świta?
Przypiera do niej jaksicki las,
a obok czapelska dąbrowa,
chłopi w spóźniony stawali tu czas
na polach przy orce, przy krowach.
Tam świat ujrzałem, najstarszy syn
w rodzinie biednego chłopa.
Godnie święcono ten dumny dzień
w życiu idącym zazwyczaj na opak.

2

Ojciec do szkoły chodził. W Golczy. Zimy trzy.
Nie na marne poszła nauka:
belfrowi sieczkę rznął, uczniem nie był złym,
choć alfabet ledwie dukał.
Matka? — Cóż, matka! Zwyczajny babski los!
Byle długiego nie miała panieństwa!
Edukowano ją, aż dziadkom pękał trzos,
na książce do nabożeństwa.
To były czasy! I mnie też
horoskop stawiano świetny:
gęsi miałem pasać za lat pięć. I wierz
nie wierz — horoskop był mętny.

3

O, bracie! Wtedy panował car
Mikołaj II, zuch nad zuchy!
Z Leninem już Stołypin się darł
po co chłopom wolności okruchy.
Mój ojciec śpiewał w lesie na głos,
z innymi, że chłopski los garbaty.
Usłyszeli kozacy z dwudziestu wiorst
i na skórze mu śpiew wytłukli batem.
Herojem nie był ojciec, więc dudy w miech!
Przy spowiedzi potępił go ksiądz dobrodziej.
To były czasy, bracie! Eech!
Po co chłopu do lasu chodzić?
Próżno tłumaczył ojciec, że
ten śpiew mu życie w lesie słodził.
Nie było rady. Grzech! Więc: — Łżesz,
alboś kradł! — w kruchcie rozgrzeszał dobrodziej.

4

Mnie pozostały gęsi. Gęś — piękny ptak.
Na fujarce z wierzbiny wiosna mi grała.
Lubiłem zjadać w ogrodzie zielony mak.
Hej, kwitła makami Krępa cała!
Hej, porcięta miałem! Uszyła matka jak mogła.
Wiatr je wydymał w polu i brał mnie w pół.
Patrzyłem zaczajony nieraz zza węgła
Jak hrabicz z Czapel powozem jeździł do szkół.
Lecz nie do gęsi mi było. Horoskop? — Śmiech!
Wojna stronami już szła. Mnie hrabicz w głowie siedział.
Kapała szaruga z brodatych chłopskich strzech
i urągała kwaśnej jak żur jałowy biedzie.
Mnie się marzyło nie wiadomo co.
Jak sny dziecięce w ciasnej chałupie spamiętasz?
Widziałem szkoły, złote pałace za mgłą
i powiedziałem ojcu: — kup mi elementarz.
Sąsiedzi pokiwali głowami. — Zgłupiał brzdąc!
Jakże się chłopu mierzyć z hrabią?
Za brzuch się trzymał krzesny, śmiał się ksiądz.
Kto we żniwa ojcu pole zagrabi?
Hej, gęsi białopióre, siodłate gąski!
Na murawie widzę wasz niezgrabny pląs.
Żegnajcie! Ja wolę książki.
Ojcu ze szczęścia drgał bujny wąs.

Elementarz? —— Marzenie. Dziś codzienny chleb.
Mówi się o nim tyle, ile o wodzie do picia.
Lecz wtedy? — Płacono drogo jak za pieprz
za jaśniejszą drogę w tym życiu.
Los chłopskiego dziecka znany był od lat,
formowały go prawa niezmienne i ślepe:
zamiast książki i pióra — fornalski miało bat,
widły do gnoju i w stodole — cepy.

5

Elementarz był szary. Mnóstwo znaków, liter.
Jakieś dziwaczne zwierzę — niewiadomo skąd?
— Chciałeś, ucz się! — rzekł ojciec. A tu ani w ząb!
Nie połapiesz się w gąszczu liter czarno bitych.
Ojciec dukał z mozołem godzinę czy dwie:
— wykuj, dziecko na pamięć z tej pierwszej stronnicy.
Tu masz literę A, tu literę Z
i „skazówkę“ ze słomy dał mi do prawicy.
Wyszedł drwa łupać. Zostałem z tym zwierzem
jak w gęstym lesie nocą, sam na sam.
Wirowały i wyły na białym papierze
rozjuszone mą trwogą widma czarnych plam.
Taniec potworków. Z książki wiało czarnym szumem.
Runął na moją głowę zwierząt głuchy ryk.
Nie umiałem rozpoznać liter czarnych tłumu...
...W potoku łez gorących elementarz znikł.

Hrabicz powozem — do szkół... Mnie dławiło łkanie.
Tak odbyło się z książką me pierwsze spotkanie.

7

Teraz ma jasną szkołę każdy chłopski syn.
Nie straszy go alfabet. Z kolorowej książki
Śmieją się znaki liter. Nie huczy w głowie młyn.
Dziewczynki idą rano ubrane we wstążki.
Nie bat fornalski chłopiec ma. A los
jego już innym dziś toczy się torem.
Rośnie w wiedzę jak w ziarno wybujały kłos,
drze ugory żelaznym traktorem.

Traktor moją opowieść odsunął już w baśń
jak o wiedźmie, co dzieci rzuca w piec chlebowy.
A to prawda była. Dziś inna już prawda. Więc dość
o dzieciństwie przebrzmiałym rozmowy!
Nie puszczaj, przyjacielu, traktora ze swych rąk.
Niech grzmi na wspólnym polu wraz ze śpiewem ptaka,
by syn twój ojczystych już liter się nie zląkł
i nad książką w dzieciństwie tak jak ja nie płakał.

TADEUSZ SZEWERA

Tarnobrzeg pisze nową historię

List znad Wisły i Sanu

Tarnobrzeg — małe miasteczko, malowniczo położone nad brzegiem Wisły... Kiedy się tu przyjeżdża po latach nieobecności, zagląda w znajome kąty, błądzi wąskimi uliczkami Dzikowa, minione dzieje tego miasteczka i jego historia staje przed oczyma jak żywa. Lecz nie tylko ten, kto spędził tu dzieciństwo — każdy przybysz powinien poznać historię miasta. Mieści się w niej, jak w miniaturze, niemały szmat dziejów Polski. I jeśli by je kto odczytał — stwierdzi, iż nie Tarnobrzeg miał kiedyś swą historię, lecz hrabia Tarnowski, pan na Tarnobrzegu i Dzikowie.

Jak daleko sięgnąć pamięcią w dzieje Tarnobrzega, to Tarnowscy byli tu przysłowiową „alfą i omegą“. O nich głównie mówili ludzie w miasteczku, a i dziś niektórzy często wspominają „starszego hrabiego“. Hrabia dał początek oświacie w ostatnich latach XIX wieku, kiedy to tylko jeden chłop z całego Dzikowa, mieszkający na przysiółku Podłęże — Franciszek Słomka — umiał czytać i pisać... Hrabina ufundowała szpital, w kościele O.O. Dominikanów z tego tytułu znajdowało się tam wiele tablic pamiątkowych... Mieli tu również Tarnowscy swe grobowce, przed którymi raz w roku w Zaduszki mogli się pomodlić „wdzięczni“ i „wierni“ tarnobrzeżanie... Nawet szkoła i gimnazjum nosiły imię hetmana Tarnowskiego.

Nas najmłodszych także interesowali Tarnowscy. Słuchaliśmy przeto z ciekawością opowiadań kolegi Jaśka, którego ojciec był lokajem w „Zamku“. Były to opowiadania o starym Tarnowskim — zdziwaczałym astmatyku. Oto stetryczały hrabia przypomina sobie polowania w Zwierzyńcu. Rozkazywał ubierać się w niedźwiedzią skórę swemu lokajowi i do skaczącego po pałacowych pokojach niby małpa na rączkach delikwenta, strzelał z laski — czasem i z dubeltówki. Albo znów w napadzie astmy i złości, kazał przyprowadzać o północy najlepszego, cugowego araba do sypialni. Konie miały przygotowane specjalne torebki, by nie brudzić dywanów.

Takie i podobne ciekawostki przesączały się przez mury pałacowe na miasto, budziły sensację iześrodkowywały rozmowy wokół oób hr. Tarnowskich.

Ze szczególną chłonnością właściwą dzieciom, słuchaliśmy tych historyjek. Wiedzieliśmy, że któregoś dnia — jak dorośniemy — i będziemy uczniami czwartej klasy gimnazjalnej, pójdziemy z wycieczką do „Zamku“ i zobaczymy to wszystko, co było otoczone legendą dziwności. Obejrzymy z bliska salę rycerską, siodło ks. Józefa Poniatowskiego, muzealnej wartości obrazy i rękopis „Pana Tadeusza“. „Upowszechniał“ Tarnowski w ten sposób kulturę narodową, konkurując jednocześnie pod tym względem z pobliskim Sandomierzem. Tylko, że w Sandomierzu mogli wszyscy zwiedzać zabytki i muzea; do „Zamku“ zaś mieli wstęp tylko uprzywilejowani. Do tych należała starsza młodzież gimnazjalna. Raz w roku, zwiedzając niektóre komnaty „Zamkowe“ dostępowała zaszczytu oglądania rękopisu Mickiewicza.

Odbywało się to ze szczególnymi ceremoniami. Artur Tarnowski — syn — przyszły spadkobierca dóbr, otwierał ogniotrwałą kasę, wyjmował klucze, potem otwierał skrytkę, wydobywając z niej szkatułę. Tę, z kolei, odmykał stary Tarnowski i z odległości paru metrów pokazywał młodzieży rękopis. Nikt nie miał prawa się zbliżyć.

W parku pałacowym owszem odbywały się festyny, ogniska harcerskie. Lecz nawet najbardziej pobożne mieszkanki miasteczka nie wiedziały, na którym to drzewie objawiła się Matka Boska Dzikowska „staremu“ Tarnowskiemu, choć głosiły, że rośnie tam południowe drzewo, z którego spleciono Chrystusową koronę. Dziś „drzewo cierniowe“ oznaczone jest tabliczką, określającą jego pochodzenie gatunkowe i nazwę.

Tarnowski... W jego „Zamku“, z jego niejako poręki nadawał w roku 1929 prezydent Mościcki Janowi Słomce odznaczenie za to, że uczył chłopców Dzikowa kapitalizmu... „Przez 30 lat cegielnia była ciągle w ruchu... razem wypaliło się przynajmniej 5 milionów cegły. Na tysiącu cegły miałem zarobek 5 złr, w czym mieściło się już wynagrodzenie za glinę. Rocznie więc miałem dochodu przeciętnie 750 złr, a w ciągu 30 lat cegielnia przyniosła mi przeszło 20.000 złr dochodu. Jednak nie tylko ja zyskałem, ale także dałem ludziom zarobek... W cegielni pracowało stale 8 robotników...“ — pisał w swych pamiętnikach Jan Słomka, wójt Dzikowa. Stary Słomka zaawansował na sąsiada pana hrabiego, bo był „pracowity“ a bogaty, ale czas przesuwał okopy wiejskiej reakcji, synów jego trzymał do chrztu już sam Dmowski. Tylko, że takich „piastowych“ a bogatych, było niewielu w Dzikowie. Większość to właśnie ci wyrobnicy, u Słomków i robotnicy folwarczni za 90, a nawet i 60 groszy dziennie, robotnicy tarnobrzeskiego przemysłu — browaru, gorzelni i wytwórni wódek.

Młody Tarnowski reprezentował także powiat na sejmie. Bóg raczy wiedzieć, kto go wybrał na posła broniącego nie miasteczkowych i nie chłopskich, a własnych interesów. Do dziś niektórzy pamiętają i mówią o umorzeniu hrabiemu przed wojną podaku, który sięgał astronomicznej cyfry, oczywiście, przez tych, z którymi zasiadał w sejmie. Lecz to nie przeszkadzało, iż ten sam Tarnowski w przeddzień II-ej wojny światowej mógł i potrafił odmówić oddania pastwisk i łąk pod wojskowe lotnisko.

Już wówczas obnażało się oblicze międzynarodowych zdrajców, których „Zamek“ miał szeroko otworzyć podwoje dla generałów hitlerowskich, maszerujących na wschód, by zniszczyć komunizm. Nie zabraniono ani pani hrabinie, ani hrabiance Siemińskiej grać z Reichenauem, faszystowskim żołdakiem, w tennis lub jeździć konno. Oto ci sami Tarnowscy, którzy uciekając przed rewolucją ludową, przed Nową Polską, zabrali ze sobą wszelkie przepisy na produkcję wódek dzikowskich i, jak fama głosi, sprzedali je obcemu, amerykańskiemu kapitalizmowi nawet wraz z budynkami przetwórni, które zostały tu — u nas — w Polsce Ludowej!

Zamknęła się za Tarnowskimi ostatnia karta ich historii. Ale pozostało jeszcze po nich zdezorganizowane życie, zdezorientowani politycznie chłopi, pozostały spotęgowane przez Tarnowskich tradycje kułackie z taką pieczołowitością kultywowane w pamiętnikach Słomki i Kurasia, konkurujących o wiślaną miedzę z bogatymi chłopami ziemi sandomierskiej. Pozostały na razie, ale nie na zawsze.

Już bowiem w latach, kiedy Tarnowscy dyktowali miastu warunki życia, wyrywali się ludzie do fabryk Stalowej Woli i Dęby. W okrzyczanej — komunistyczną — wsi Skowierzynie mieszkał wówczas nie tylko Gębala, chłopski pisarz radykalny. Z tej nowej gromady wyszli do nowej Polski chłopi — murarze, — rekordziści i przodownicy, Krajewski, Madej, Siembida. Budują Warszawę, Nową Hutę, budują nowe socjalistyczne miasto w Stalowej Woli.

Słaby był proletariat fabryczny w latach, kiedy historię Tarnobrzega wyznaczali Tarnowscy z Dzikowa. Ale rósł w okolicy radykalny ruch ludowy, głośnym echem odbijały się na powiat chłopskie bunty i strajki. Szły one właśnie ze Skowierzyna, Stalów, Mokrzyszowa, Jeziórka, Żupawy, wsi biedniackich, piaszczystych, wyrobniczych. Jakże często w latach mego dzieciństwa roiły się uliczki nadwiślańskiego miasteczka, granatowymi mundurami „malowanych chłopców“ z policyjnej szkoły. Mówiło się wówczas, że chłopi chcą iść na miasto panów rżnąć“. A drżał tylko... Tarnowski.

Przychodziła do nas często ze Stalów chłopka Bałacina. Opowiadała o swej biedzie, o paromorgowej gospodarce na piachach. Ale od Zielonych Świąt upłynęło dwa miesiące jak dopiero pokazała się znów zmizerowana Bałacina, by z dumą oświadczyć — „com dostała, com przesiedziała to im zapamiętam. Aleśmy naszych chłopów nie pozwoliły zabrać do więzienia“... Głośne było to wystąpienie stalowskich kobiet, broniących przed granatową policją swych mężów — chłopskich „buntowczyków.“

*

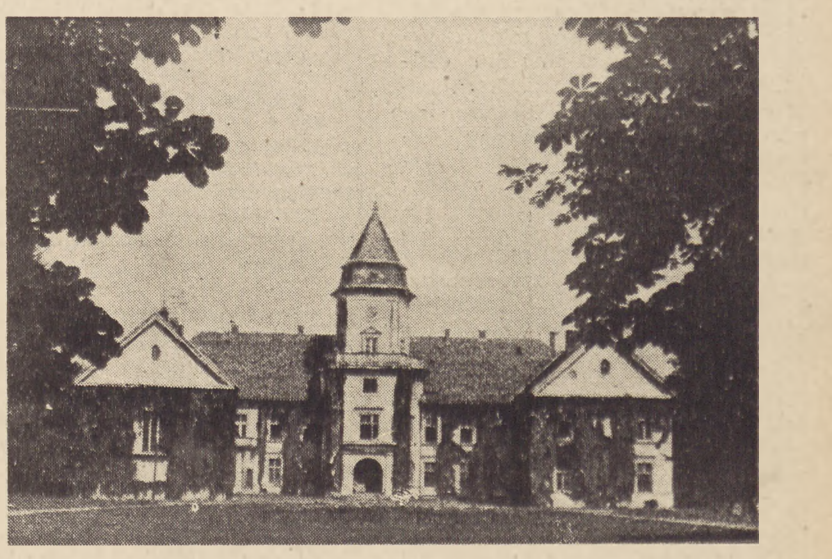
Dziś w zapadłym miasteczku wyrasta stopniowo klasa robotnicza. Nie można o niej jeszcze mowić i pisać tak, jak o bohaterskim proletariacie Łodzi, Warszawy, Nowej Huty. Tu dopiero się ona formuje, niejednokrotnie z dawnych fornali i służby Tarnowskiego, przyzwyczajonej do kradzieży „pańskiego“, z Dzikowiaków, przyśpiewujących w młodości na weselach zapitym głosem: — „hej dzielni Dzikowianie, hej wisi nóż na ścianie, hej niech się kto podwinie, hej zdrowo nim dostanie“... Formuje się z dawnych bezrobotnych wydrwigroszów jarmarcznych, wyśpiewujących na całe gardło za czasów Tarnowskiego: — „Hej dzielni Dzikowianie, hej pod góreczką byli, a już się Machowianie, hej po wychodkach kryli“... Formuje się ze strajkujących i wiecujących przed wojną biednych chłopów.

Młoda jest ta klasa, niedoświadczona, a nieraz i mało świadoma, lecz mimo to porywająca w swoich wystąpieniach. Ci ludzie przecież dźwignęli ze zniszczeń wojennych własnymi rękami dwie fabryki — włókienniczą, gdzie produkuje się piękne tkaniny eksportowe i zakłady wyrobu pasty do butów oraz świec. A byli też wśród tych nowych budowniczych starsi robotnicy z okresu „państwowo-twórczego“ COP-u...

Rośnie klasa robotnicza i tu w zapadłym miasteczku. Przyszła ona w samą parę, bo najbardziej radykalnemu ruchowi ludowemu w latach sprzed drugiej wojny, zabrakło zaraz po wyzwoleniu szerszego oddechu. Załamał się nieco, gdy znikł nagle z powierzchni i z historii wróg — Tarnowski. Ale walka klasowa nie ustała. I oto ta młoda, krzepnąca klasa robotnicza Tarnobrzega stanęła w tej walce po stronie mało i średniorolnych chłopów. I pomaga im jak może. A żadne strony tak nie wołają o pomoc polityczną, jak właśnie te, „ludowcowe“, ale przetarte agitacją „działaczy-przedsiębiorców“, jak Słomka i Magryś.

Powstała w okolicach Tarnobrzega pierwsza spółdzielnia produkcyjna. Powstała właśnie we wsi Stefana Gębali, w gromadzie, skąd wyszli chłopi murarze, „wyścigowcy“ i „tygrysy“, budujący Muranów w Warszawie i Dom PZPR w Lublinie. Spółdzielnia boryka się z trudnościami, czasem i gospodarka nie idzie należycie, oglądają się spółdzielcy na pomoc „SP“ lub urzędników z miasta. Wielu członków kolektywu pozostawiło ziemię i urzęduje w miasteczkach okolicznych. A kułacy tymczasem ją atakują, odciągają od spółdzielczości zdezorientowanych biedniaków ze wsi sąsiednich, że ci wolą pójść do miasta za pracą, niż myśleć o gospodarce; „jak powstanie spółdzielnia, ziemia wtedy też ich nie będzie.“

W mieście jeszcze kwitnie drobnomieszczański handelek, docierają na rynek towary wraz z handlarzami objuczonymi towarami z łódzkich PDT-ów, czasem niestety i spółdzielca „zaplącze się“ na jarmark z koszykiem jajek i masłem, a zapytany, odpowie rezolutnie: „o żniwa nie ma zmartwienia. Przyjadą urzędniki z Tarnobrzega, to i zbiorą zboże“...



Ale przy tym wszystkim widać niesłychany wzrost sił wytwórczych. Są dwie fabryki, jest państwowy browar i państwowa gorzelnia. W pałacu uczy się młodzież chłopska rolnictwa. I młodzi chłopcy nie o własnych myślą bogatych gospodarkach, lecz o przebudowie rodzinnych wsi. O tym właśnie rozprawiali przodownicy i uczniowie liceum z goszczącym u nich Ministrem Rolnictwa, Dąb-Kociołem. Rośnie nowe pokolenie gospodarzy wsi tarnobrzeskiej... Uczy się młodzież z miasta i wsi aż w trzech gimnazjach — ogólnokształcącym, krawieckim i rolniczym. Uczy się i na trzech kursach. Oto w bazie remontu obrabiarek szkolą się kadry przyszłych mechaników. A miasto tymczasem, choć wolno, ale rośnie. Odbudowano gmach Powiatowej Rady Narodowej (dawnego starostwa), wybudowano biura PZUW, sklepy spółdzielcze rozbudowuje się Szpital Powiatowy, jest przedszkole, ośrodek zdrowia, remontuje się drogi...

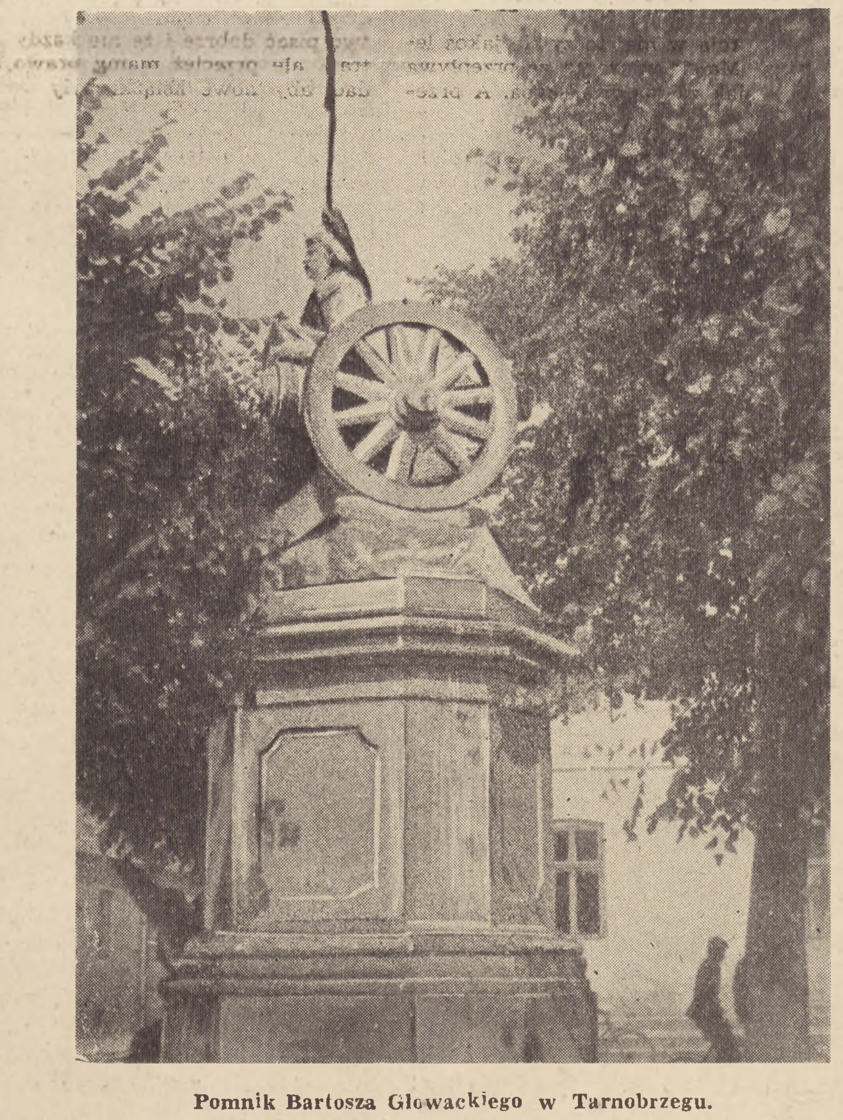
Pisze Tarnobrzeg nową historię. Rękami chłopów przeprowadzających meliorację 150 hektarów pól ornych, odnawiających 10,540 m rowów odwadniających łąki. Pisze ją rękami klasy robotniczej z nowych fabryk nad brzegiem Wisły, rękami przodowników ze Stalowej Woli — Dąbka, Dula, Łacha.

To trzeba dostrzec w Tarnobrzegu. Nie braki i nie słabość jeszcze nieokrzepłej klasy robotniczej, ale to, że jednak powoli zaczyna czuć się gospodarzem miasta, zaczyna mówić z dumą o pierwszych „naszych“ fabrykach.

Po sześciu latach mieszkańcy Tarnobrzega i przybysz — spędzający dzieciństwo w małym, nadwiślańskim miasteczku, bilansują rozwój sił wytwórczych i rozwój kulturalny miasta. — „Znikają ślady wojennej okupacji i zaciera się w pamięci, zwłaszcza młodzieży, okres Polski kapitalistycznej“ — pisał minister Szyr. Skoro mieszkańcy Tarnobrzega dobrze rozumieją jak wiele wysiłku kosztowała nas odbudowa kraju, trzeba aby jeszcze bardziej rozumieli trud i sens socjalistycznego budownictwa.

Dwie nowe fabryki w Tarnobrzegu, zbudowane rękami dawnych fornali Tarnowskiego, rękami okolicznej biedoty chłopskiej, oznaczają niewątpliwie niespotykany dotąd w cichym miasteczku wzrost bazy. Lecz bazę tę może chronić, należycie wykorzystywać i poszerzać świadomy politycznie robotnik. Fornal z Dzikowa, chłop z pobliskiej wsi, dawny chałupnik — cała ta nowa formująca się klasa robotnicza, pozbawiona częściowo tradycji, powoli dorabia się świadomości przodowników w przebudowie miasteczka i okolicy. Dlatego szczególnie mocno sprawdza się w Tarnobrzegu słuszność i konieczność realizacji hasła VI Plenum Partii: jeszcze usilniej przekonywać, uczyć i budzić świadomość polityczną!

Tadeusz Szewera



Pomnik Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu.

KAZIMIERZ DĘBNICKI

SPRAWA NAKWASKIEGO

„Sprawa Nakwaskiego" to opowiadanie z frontu czujności.

Najniebezpieczniejszy wróg, z którym mamy od czynienia w walce o Plan 6-letni — to wróg przyczajony w aparacie administracyjnym i gospodarczym — wróg okopany na biurokratycznych pozycjach, maskujący się perfidnie szyldem władzy ludowej. Stępia on oręż walki klasowej i obraca nieraz przeciw masom pracującym, wypacza celowo linię partii, niweczy twórczą inicjatywę mas, hamuje marsz do socjalizmu.

W demaskowaniu i zwalczaniu takiego wroga nieocenioną pomoc oddaje nam spojrzenie wstecz, analiza jego przeszłości, jego zachowania w czasie okupacji.

W historii Nakwaskiego pokazane zostały dzieje brudnej kariery zaczętej w okresie wojny przez kolaborację z faszystami, spekulację i grabież.

Te brudne kariery z czasów okupacji usiłowali ludzie typu Nakwaskiego kontynuować w Polsce Ludowej, zmieniając oportunistycznie piórka. Maskując sztuczną gorliwością, nadskakiwaniem i podłym lizusostwem swe wrogie oblicze, nie szczędzili wysiłków by wcisnąć się do aparatu państwowego, a nawet partyjnego.

Tam, gdzie im się to udało na skutek braku dostatecznej czujności, wyrządzali ogromne szkody.

Z wrogami tymi obowiązuje nas twarda walka na trudnym wewnętrzny froncie.

Śmiała krytyka — to potężny oręż w tej walce.

REDAKCJA

Nakwaski pracował w Landwirtschaftliche Zentralstelle sporego miasta powiatowego, któremu okupant wyrządził afront odbierając wojewódzkie honory i ustanawiając siedzibę dystryktu tam, gdzie gestapo i inne władze miały lepsze warunki lokalowe. Nakwaskiemu ta degradacja rodzinnego miasta nie przeszkadzała. Chociaż hitlerowcy byli zdemoralizowani łapownictwem i łatwymi zarobkami — zawsze lepiej mieć zwierzchnie władze nie tuż nad karkiem, a nieco dalej. Nie dla ich surowej uczciwości, a dla sprawy samych zarobków. Im więcej wspólników — tym zarobki mniejsze. Pod tym względem Nakwaski był bezapelacyjnym zwolennikiem koncentracji kapitału. Podobnie jak jego Niemiec. Jako-że miał „swojego" Niemca, grubego kierownika Landwirtschaftliche Zentralstelle, Friedricha Schuppke.

Z Schuppke Nakwaski żył dobrze. To znaczy robił kanty na własną odpowiedzialność, a Schuppke brał połowę dochodu. Płynęły więc bezugscneiny na naftę, spirytus, nawozy, sacharynę, paszę, narzędzia i wszystko w ogóle co znajdowało się w zakresie wpływów i decyzji Nakwaskiego. Małych interesów nie lubił. Detal — to zabawa dla drobiazgowych urzędników. Nakwaski miał gest. Toteż w Landwirtschaftliche Zentralstelle panował wieczny ruch. Pod starymi arkadami biskupiego pałacu, w którym umieścił Schuppke swój urząd — kręcili się co bogatsi właściciele tartaków, warsztatów i fabryczek, sklepikarze i hurtownicy, bogaci chłopi i młynarze, właściciele ziemscy i kierownicy Liegenschaftów.

„Elita" — uśmiechał się Nakwaski.

„Dobry Polak ten Nakwaski" — głosili klienci.

SZCZYT MARZEŃ

Życie, jak z tego widać, odfitowało w uroki i Nakwaski umiał je wykorzystywać. Gdzieś w 1943 roku latem skończył budowę ładnej willi za miastem, w piwnicy zamelinował rozłożony na części samochód — prezent wielkanocny Fryca Schuppke; nakupił mebli, porozwieszał firanki i obrazy, skądś nawet wytrzasnął dywany. Czytywał, dostarczany mu regularnie „Szaniec", potem rzucił się na lekturę pism A. K., nawiązał jakieś kontakty poprzez klientów, dźwigających na swych barkach „zaszczytne" obowiązki inspektorów, podinspektorów, komendantów placówek, łączników i delegatów... Rozmawiał z niektórymi przyciszonym głosem, wskazywał dramatycznym ruchem na drzwi Schuppke, coś brał, coś dawał, coś obiecywał, czegoś żądał i tak stał się urzędowym niemal reprezentantem Polski Podziemnej. A kiedy ktoś zbyt zapalczywy zagadywał o Schuppke, o wspólne gospodarstwo i wspólne interesy, najpierw zapewniał, że Schuppke to jest taki „dobry Niemiec", a potem czynił wymowny ruch ręką na zachód i szeptał:

„Jak tamci przyjdą to..." dłonią na płask przejeżdżał po gardle, zezując jednocześnie w tym kierunku, gdzie w danej chwili przebywał jego zwierzchnik.

Jak kto zaś chciał dalej prowadzić indagację w sprawie Nakwaski — Schuppke, gdzieś w inspektoracie, czy komendzie obszaru zbywano niecierpliwca krótko:

„Taktyka!"

I byłoby wszystko w najlepszym porządku, gdyby nie nagłe zoologiczne pragnienia Nakwaskiego. Dom — to dom, ogródek — ogródkiem, ale Nakwaskiemu zachciało się bagatelki — krowy. Ładnej, dużej, mlecznej, o oczach z aksamitu, przypominającej kelnerkę u Zaparta. Zwierzył się z tego Schuppkemu.

„Du bist verrückt, mein lieber Nakwaski, po cholerę ci krowa?" Nakwaski coś tam tłumaczył zawile i mętnie. Schuppke machnął ręką i zdawało się zapomniał o sprawie. Ale nie. Po tygodniu zawołał urzędowo Nakwaskiego do gabinetu.

„To jest wójt z Suchedniowa, verstanden? On ci zrobi krowę, rozumiesz?" — pokazał ręką na łysawego, pomarszczonego człowieka o chytrych, szarych oczkach.

„On ci zrobi krowę, fertig, ab!" — powiedział urzędowo.

Krowa rzeczywiście istniała. Wymarzona, mleczna, oczy — aksamit, sierść — plusz, andaluzyjskie krówsko. Cud natury. Miała jedną wadę. Właściciela. Właściciel był wariat, znany i ceniony suchedniowski wariat, popularnie zwany „głupim Adamem". Adam miał ze 60 lat, na sobie dźwigał wieloletnią warstwę brudu, a spod strzępiastych wąsów wymykał mu się stale głupawy pojęk... eee, eee, eee... By to bidak nad bidaki, gnieździł się gdzieś w jakiejś zawszonej ruderze i jedyne bogactwo nieszczęśliwca stanowiła dorodna „Łaciata".



Zbliżał się dzień spędu bydła. Od rana pod gminą w palącym słońcu tłoczyli się ludzie, na łące ryczały krowy, wzdłuż drogi stali spoceni żandarmi w zielonych mundurach. Mężczyźni klęli po cichu i z rozwagą, kobiety w czarnych i czerwonych zapaskach żegnały się znakiem krzyża, dzieciaki beczały, żandarmi porykiwali od czasu do czasu do wtóru wylękłym bydlętom.

Gdy już odwalono większą część roboty i słońce stoczyło się nad krukowskie lasy — wójt pognał dokądś na rowerze, przejechał kładkę na rzece, zostawił rower na łące i poszedł szukać „głupiego Adama". Znalazł go pod krzakami leszczyny, jęczącego swoje eee, eee, eee... „Łaciata" żarła z królewską obojętnością trawę, wójt drapał się w głowę, Adam patrzył przerażonym, obłąkanym wzrokiem. Potem wójt wcisnął staremu parę złotych w garść, powiedział dobitnie:

„Sprzedałeś krowę, rozumiesz Adam, na spęd? Niemcom?" Adam pokiwał głową, wyjęczał przeciągle eee, eee, ee, coś chciał powiedzieć, nie umiał, zabełkotał tylko, pochylił się do wójtowej ręki...

„Nie dziękuj, nie dziękuj... Chociaż tak, to by ci to zabrali za darmo..." żachnął się wójt, pociągnął „Łaciatą" za postronek i przyprowadził Nakwaskiemu.

ZŁA PASSA

Nie miał szczęścia Nakwaski do „Łaciatej". Nie chciała nic żreć. Chudła w zastraszającym tempie, ledwo nogami włóczyła, straciła mleko, sierść jej skołtuniała, oczy straciły aksamitną miękkość i blask. Wreszcie któregoś dnia zdechła.

Nakwaski stracił humor.

Był to jednak dopiero początek nieszczęść. Bowiem parę tygodni później chłopcy z lasu w fatalny sposób zbili mordę wójtowi, nie kryjąc, że w ten sposób pokrywają jedynie część rachunku, jaki ma włodarz gminy spłacić staremu „głupiemu Adamowi".

Wójt pojechał natychmiast do Nakwaskiego i dramatycznym gestem prezentując swe cielesne obrażenia wzywał go do działania.

„Widzisz pan oni rzeczywiście PPR-y, komuniści znaczy się. Znowuż mnie wczoraj naszli. Pod Łączną pociąg wysadzili, Niemców potłukli, no i tak mimochodem"...

„Coś takiego!" — Nakwaski sapnął, jakby chciał przedwać, ale wójt rozgadał się na dobre.

„Oni u nas, powiadają, niedawno. Jeszcze się nie rozejrzeli. Ale jak się rozejrzą — to te wszystkie sprawki, interesy znaczy się handlowe przepatrzą i co, powiadają świństwem pachnie, albo niemiecką spółką — to porządek z tym zrobią."

„Porządek zrobią!" — Nakwaski podreptał do okna i znowu podleciał do wójta. — „Niech lepiej nosa pilnują, bo ja też mogę porządek zrobić. Do inspektora jeszcze raz pójdę, a nie pomoże, załatwimy inaczej. Niech no — by się Niemcy dowiedzieli co to za jedni. No, no — Niemcy wprawdzie wróg — ale w obronie, rozumiesz pan, panie wójcie, europejskiej kultury..."

Wójt czoło pomarszczył. Wtrącił: „Niby o krowę i w ogóle takie sprawki chodzi — nie zaś o kulturę. Oni nam mogą dać po dupie za te kradzieże lasu, coś tam mówili, że to niby polski skarb, albo za jakieś bezugscheiny co to do ludzi nie dochodzą. Też mówili. Ale o kulturze to mowy nie było, panie Nakwaski."

„Głupiś pan. O kulturę też chodzi, europejską. Żeby przed bolszewikami bronić".

Wójt bardzo smutnie potakiwał i mimo bohaterskiego tonu Nakwaskiego, coś jakby niewiara zalśniło w oczach. Miał pewne powody, by Nakwaskiemu zbytnio nie dowierzać. Spuścił więc oczy, bo ten brak zaufania z nieczystego wójtowego sumienia się wywodził, o czym Nakwaski nie powinien się był dowiedzieć. Poprzedniego dnia — ci z lasu, po rozbiciu niemieckiego transportu, w czasie rozmowy z wójtem poprosili o „małe" wyjaśnienie.

„Komuście to „Łaciatą" dali?"

„Łaciata" zdechła." — ni to z ubolewaniem, ni z triumfem powiedział wójt.

„Zdechła? A u kogo ona zdechła?"

„W mieście."

A u kogo?

„U Nakwaskiego, tego z Centrali."

„Jakiej znowu centrali, człowieku, mówże jasno."

„Z Landwirtschaftliche..."

„A, stamtąd. No, dobra. Bywajcie wójcie!" — i poszli. A wójt stał teraz naprzeciw Nakwaskiego i myślał: dadzą mu w dupę czy nie dadzą?

Mieliby tylko bić w dupę skromnego wójta? A jak Nakwaski się dowie na przykład, że on wójt — wygadał? Krewa.

Długo nie czekał. Tegoż wieczora do Nakwaskiego przyszli trzej mężczyźni. Był sam. I dostał lanie — setne lanie. Takie, że go nawet głowa boleć przestała, ale usiąść nie mógł.

„A żebyś wiedział kto cię bił — tłumaczył wysoki, blondyn, usłyszawszy groźne zapowiedzi Nakwaskiego, że on ten niesłychany, bandycki napad ukarze poprzez inspektorat, ba, komendę obszaru nawet — to ci powiem. AL cię biła. Za krowę, za rabunek, za tą twoją spółkę z hitlerowcami. Pewnieś już przez tę spółkę niejednego skrzywdził...?"

Swoje Nakwaski dostał, a jeszcze musiał do Suchedniowa jechać „głupiego Adama" odszukać i tak niby ni z tego ni z owego, wpakować mu w „kieszeń" grubszą gotówkę.

„Żebyś zdechł, żebyś się udławił" — myślał, suwając językiem po zaciśniętych zębach, gdy słuchał zdziwionego bełkotu starca. Wprawdzie w niektórych kołach rodzinnego miasta zaczął Nakwaski uchodzić za bohatera „patriotycznego" podziemia, ofiarę komunistycznego zamachu, wprawdzie taka wersja przyjęła się wśród koryfeuszy Delegatury i powiatowych strategów z AK, wprawdzie nawet, dzięki propagandowej akcji Schuppkego — uśmiechnął się do Nakwaskiego u Zaparta sam szef Gestapo — ale czarna seria nieszczęść zaczęła spadać na przedsiębiorczego handlowca.

Po krowie stracił Schuppkego. Złotą, polską jesienią, opromienioną wieściami z frontu — Schuppke wyjechał. Nakwaski, od chwili gdy Schuppke otrzymał wezwanie do wojska — czuł się osierocony, oszukany przez los, po prostu nabity w butelkę. Świat bez Schuppkego zionął beznadzieją, zaskakiwał groźnymi niespodziankami.

Na domiar nieszczęścia przybył nowy szef, który nie odnowił handlarskiej spółki z Nakwaskim.

PRZYPADEK.

Pozycję Nakwaskiego uratował przypadek. Nie było nim oczywiście zawarte wiosną 1944 roku małżeństwo z ową zapartowską kelnerką o aksamitnych, krowich oczach. Nad nim przeszedł Nakwaski szybko do porządku dziennego.

Przypadek nadszedł w sierpniu 1944. Właśnie Nakwaski po jakiejś politycznej rozmowie strapiony rozmyślał nad perspektywami radzieckiej ofensywy i dochodził do wniosku, że jego rachuby zawodzą, że cały ten londyński interes bierze w w łeb — gdy zatrzymało go koło Dworca Kolejowego—głośne „Halt!" Łapanka. Gestapowcy i żandarmi byli nietutejsi, nie pomogły więc ani Nakwaskiego prośby, ani powoływanie się na szerokie znajomości, ani opatrzone dziesiątkami pieczęci dokumenty. W tłumie przerażonych ludzi zawędrował Nakwaski do Arbeitsamtu, gdzie uznano go za zdolnego do pracy fizycznej i przeznaczono do transportu. Próbował przekonać szefa Arbeitsamtu, który na nieszczęście a może na szczęście Nakwaskiego urzędował tak niedawno, że nie znał jeszcze miejskiego patrycjatu. Niemiec spojrzał spod oka, ujął za słuchawkę, połączył się z nowym szefem Nakwaskiego i gdy usłyszał po tamtej stronie przewodu lakoniczne:

„Nie jest mi potrzebny. Na okopy? Niedaleko? Dobrze. Niech jedzie." — wrzasnął na Nakwaskiego: „Raus! Willst du nicht arbeiten, was?" Nakwaski cofnął się szybko, zamruczał, machinalnie przetarł szkła, pogmerał prawą ręką w kieszeni i już był cichy, bezradny, po prostu, myślałbyś — oferma. Z wagonu zdążył jeszcze krzyknąć zapłakanej żonie, żeby domu, cholera, pilnowała. Odjechał w nieznane. Pozostało po nim w kołach miejskich luminarzy, „działaczy" i „aktywistów" podziemia — opinia człowieka zdolnego, ruchliwego i ofiarnego. A na niej jak bluszcz na żywopłocie, narastała legenda narodowego męczennika. Przypadek.

* * *

A narodowy męczennik znalazł się tymczasem w Olesznie. Dziura to była bez najmniejszego komfortu, ale przypadło jej odegrać w planach hitlerowskiego dowództwa rolę strategiczną. Tu bowiem miała przebiegać ważna linia fortyfikacyjna, z której potem na głos zaśmiewali się radzieccy żołnierze. Nakwaski przyglądał się temu wszystkiemu przez zasieki z drutów kolczastych, wzniesione pośpiesznie wokół kilku stodół, w których trzymano 300 złapanych i odczuwał wyraźną niechęć do okolicy, Oleszna i siebie samego. Swoją dezaprobatą ogarnął i współwięźniów, którzy rozprostowawszy się nieco po łapance zaczęli regularnie wiać. Nocą i dniem, korzystając z lenistwa starych, brzuchatych Niemców, którym brązowe mundury SA nie dodawały wcale żołnierskiego animuszu. Był to ostatni rzut mobilizacyjny taborowych ciurów, którym Adolf Hitler powierzył obronę przedpola Rzeszy. Toteż pierwsze trzy dni zeszły wszystkim na generalnym nieróbstwie, przeplatanym zawiązywaniem intymnych stosunków z żeńską częścią obozu, której na razie nikt nie miał zamiaru izolować. Koedukacja była, można powiedzieć, wszechstronna. Nakwaski, który uzyskał funkcję obozowego tłumacza skorzystał z koedukacji w możliwie wyczerpujący sposób zaanektowawszy na swój wyłączny użytek krostowatą volksdeutschkę, która uważała się za coś niezrównanie lepszego od reszty więźniów. Wszem i wobec głosiła, że właśnie oddała papiery do rejestracji w dniu łapanki i że wszystko to jest poprostu idiotycznym nieporozumieniem. Ludzie omijali dziewczynę demonstracyjnie i Nakwaski mógł w ten sposób, okazując maksimum współczucia, zdobyć jej łaski i wszystko co się z nimi wiązało. Po trzech dniach, gdy w obozie pozostało już tylko około 100 osób nadjechało gestapo, stłukło mordę kilku strażnikom, rozstrzelało dla przykładu paru więźniów i w obozie zaczęło się dziać zdecydowanie źle. Skończyło się prowiantowanie we własnym zakresie, kontakt z ludnością urwał się zupełnie, a od świtu do wieczora trwała idiotyczna, bezmyślna harówka przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, gniazd karabinów ppanc, pozycji czołgowych i artyleryjskich.

Jedynie Nakwaski i paru jeszcze podobnych żyło sobie względnie przyzwoicie, jeżeli pominąć zawszenie i brud. Przyszła jednak słotna jesień, a po niej mrozy i Nakwaski poczuł, że sytuacja nie jest najlepsza. Niemcy gnali Anglików i Amerykanów na Zachód, Rosjanie zaś nie tylko stali nad Wisłą, ale dawali



o sobie niemal codziennie znać dalekim dudnieniem dział i częstymi nalotami, które z nocnych przeszły w dzienne i trzymały wartowników w ciągłym napięciu.

„Trzeba wiać, co tu będziemy Niemcom groby kopać, niech sobie sami kopią!" — powiedział Nakwaskiemu młody, zielony od głodu i zimna chłopak.

Nakwaski wzruszył ramionami, odburknął, że jak kto chce — droga wolna, ale on nie ma ochoty zainkasować ołowiu w czaszkę. Chłopak zwiał jednak tej samej nocy, a Nakwaskiemu uparte, natarczywe myśli zasnąć nie pozwalały.

Rano wstał z gotową decyzją, zapadłą pewnie w niespokojnych, potliwych snach. Na swoją „volksdeutschkę" przestał zwracać uwagę, pokręcił się za to koło najbardziej pyskatych obozowiczów, poniuchał tu, poniuchał tam, na żartobliwe docinki pod adresem jego bogdanki odpowiadał poważnie: *„ścierwo! Nie poznałem się na tej dziewce, myślałem, że ona tak dla żartów, ale nie, to proszę was, gestapówka, ścierwo!"* Robił przytem minę wielce tajemniczą, jakby odkrywał świeżo zdobytą rewelację z nadrukiem: *„ściśle tajne!"*.

C. d. na str. 6



TADEUSZ SŁUPECKI

O SIEDMIU SZALONYCH SOŁTYSACH

Pewnego poranka przewodniczący powiatowej rady narodowej w Łosiowej Górze jechał służbowo w teren. Na kolanach miał teczkę z urzędowymi sprawozdaniami, na wargach półurzędowy uśmiech, a w sercu już całkiem prywatne uczucie beztroski. Przyjemnie jest jechać dobrym autem po asfaltowej szosie, w dodatku z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Po siedmiu miesiącach harówki znalazł wreszcie trochę czasu, aby wytknąć nos zza biurka. Jechał teraz na wieś pogadać z chłopami. Nietyle z potrzeby, ile dla uspokojenia sumienia. Żeby nikt nie powiedział, że się od chłopów odgradza...

Czerwcowe ciepło, wiaterek, słonko, zielone żytko — ech nareszcie coś innego niż cztery ściany gabinetu.

Nagle, na trzecim kilometrze drogi, wypadła zza zakrętu gromada chłopów. Biegli przez całą szerokość szosy, wyrzucając nogi do przodu i po końsku potrząsając łbami. Szofefr zaklął. Zahamował.

Przewodniczący wychylił się z auta, chcąc ich zbesztać za tarasowanie drogi — lecz głos utknął mu w krtani. Bo oto pierwszy z biegnących — wielki, zwalisty chłop, w którym poznał sołtysa z Kurzołapów — zarżał mu prosto w twarz. Sześciu pozostałych zawtórowało równie potężnym rżeniem..

— Co to za jedni?... wyjąkał.

— To siedmiu szalonych sołtysów — odparł szofer, ziewając.

— Siedmiu szalonych sołtysów?... zadziwił się przewodniczący. Nic o nich nie wiem!... A cóż to takiego?

Szofer pomyślał, że gdy spędza się 14 godzin przy biurku, to trudno jest coś wiedzieć.

— Zawracaj! krzyknął przewodniczący. Takie historie w moim powiecie... Muszę to wyjaśnić. Natychmiast! Zaraz w tej sprawie zażądam sprawozdania...

I w ten sposób pierwsza inspekcja w terenie zakończyła się na trzecim kilometrze za Łosiową Górą. Kiedy odbędzie się następna — nie wiadomo. Bo przewodniczący zaczął znów czytać protokóły i sprawozdania.

*

Historia z szalonymi sołtysami zaczęła się dość niewinnie. Pewnego dnia sekretarz gminnej rady narodowej w Gapowicach Wielkich wezwał do siebie sołtysów z siedmiu okolicznych gromad.

— Słuchajcie, chłopcy — zadudnił basem sekretarz, maleńki chuderlawy człowieczek. Ja was, hm, tego, w sprawie spędu hodowlanego koni... Ogłoście w gromadach, że za dwa tygodnie chłopi mają się stawić w Łosiowej Górze. Z końmi. I wy też...

— Dobra jest, sekretarzu... zapewniali sołtysi. Zrobi się.

W oznaczonym dniu chłopi konie spędzili. Zjawił się też weterynarz. Wszystko odbyłoby się jak należy, gdyby komisja nie nawaliła. A bez komisji, wiadomo, nic odbyć się nie może. Więc chłopi, klnąc na zmitrężony dzień, wracali do chałup z niczym. Z Łosiowej Góry do Gapowic było 26 kilometrów. A tu trza było koniska tłuc tyli kawał drogi po próżnicy. I robota w domu stoi. Kogo serce nie zaboli?

Za drugim razem chłopi przybyli równie licznie. Zebrała się komisja. Wszystko odbyłoby się jak należy gdyby weterynarz nie nawalił. A wiadomo — na spędzie bez weterynarza, to jak na weselu bez panny młodej. Chłopi klęli, aż się trzęsło. Znów dymali z niczym do chałup.

Za trzecim razem wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. Komisja tym razem była, weterynarz także. Nie było jedynie chłopów. Ot, po prostu zapomniano ich zawiadomić o zmianie terminu, bo weterynarz w oznaczonym czasie musiał jechać do Wrocławia i spęd przesunięto w ostatniej chwili na dzień wcześniej. Ale i tak się chłopi szybko o tym dowiedzieli. Zaraz następnego dnia. Kiedy pokryte kurzem konie wprowadzali na plac targowy w Łosiowej Górze...

To też nic dziwnego, że gdy w tydzień po tym sekretarz gminnej rady w Gapowicach zawezwał do siebi sołtysów z siedmiu gromad, ci — przybyli z ociąganiem i niechętnie.

— Słuchajcie, chłopy... sekretarz zadudnił basem, którego używał tylko wtedy, gdy występował w urzędowym charakterze. Poza tym gadał płaczliwie i przez nos. — Ja was, hm, tego, w sprawie szczepienia koni... Bo to, słyszeliście, nosacizna. Ogłoście w gromadach, że za pięć dni mają się stawić z końmi w Łosiowej Górze... I wy też.

— Laboga, znowu!... stęknął sołtys z Kurzołapów. A czy to pan weterynarz nie mogliby przyjechać do nas? Łatwiej jemu z tą strzykawką do Głuchowic, niźli nam pędzić koniska do Łosiowej Góry, 26 kilometrów w te i 26 we wte!

— Racyja — poparło go sześciu pozostałych sołtysów. — Konie zmordujesz po próżnicy, dzień jak nie zmitrężysz. A tu w siedmiu gromadach do dwustu koni będzie.

Sekretarz gminy podrapał się po nosie.

— Nie labidźcie o byle co, bom nie rzekł jeszcze wszystkiego. Na drugi dzień po zaszczepieniu macie przyjechać z końmi do Łosiowej Góry na obserwację. Niby, jak się to szczepionka przyjmuje...

— A, wciurności! — klęli sołtysi. — To znaczy się, drugi dzień zmitrężony?

Sekretarz pogrzebał w papierach na stole i zaczął jąkać przez nos:

— Ale to nie koniec... Taka szczepionka, to się lubi czasem nie przyjąć... Dlatego na trzeci dzień pojedziecie znowu do Łosiowej Góry. Aby doktór mógł sprawdzić, czy się przyjęła...

— Czego?!!! wrzasnęli razem sołtysi. To znaczy sie mamy stracić trzy razy po dwieście dni roboczych końskich i tyleż naszych? Bo panu weterynarzowi przyrósł tyłek do stołka? Instruktorzy pyski strzępią, że niby nowe metody, że planowo, a wy co wyrabiacie z koniskami.

— To wedle planu... jąkał sekretarz. Z powiatowj rady przysłali...

— Naród tera w Polsce władzą!— krzyczeli chłopi. Do samego ministra pojadziem! A szkodzić gromadom nie damy!

Zrobił się tumult. Sołtys z Kurzołapów bił pięścią w papiery sekretarza. Pozostali wrzeszczeli, co ślina na język przyniosła. Niewiadomo, czym by się to dla sekretarza skończyło. Ale na szczęście szybko odnalazł wśród stosu leżących przed nim papierów jeszcze jeden i podniósł do góry. Sołtysi ucichli.

— A w trzy dni po szczepieniu, w Łosiowej Górze odbędzie się przegląd taboru... Wszystkich dwustu koni...

W zakisłym powietrzu izby zawisła na chwilę niesamowita cisza, aż rozłupało ją w uszach sekretarza końskie, rżenie sołtysa z Kurzołapów! Za chwilę rżeli już sołtysi wszystkich siedmiu gromad gminy Gapowice Wielkie.

*

Jak stwierdzili lekarze i wezwany dodatkowo, jako koński specjalista, weterynarz, nieszczęśliwcy ulegli rzadkiemu w medycynie rodzajowi zbiorowego obłędu

Sołtysów opanowało t.zw. „końskie szaleństwo". Biedakom wydaje się, że są nieszczęśliwymi końmi, które co drugi dzień muszą pędzić 26 kilometrów tam i 26 kilometrów z powrotem na niekończące się nigdy spędy.

W dni parzyste zachowują się na ogół normalnie. Pracują na swych gospodarstwach. Wychodzą w pole. Oprzątają bydło. Nawet załatwiają interesantów. Ale w każdy dzień nieparzysty ogarnia ich dziwny niepokój. — Zrywają się wtedy bladzi i nieprzytomni. Obuwają podkute żelaznymi podkowami buciory, wyrywają się pilnującym ich rodzinom i z głośnym rżeniem pędzą na szosę, a stąd — już całą gromadą do Łosiowej Góry! Na kolejny przegląd taboru...

Stan chorych — co tu ukrywać — jest bardzo ciężki. Jednak z uwagi na nieszkodliwość dla otoczenia pozostawiono ich w domu. Lekarze twierdzą, że nie ma najmniejszej nadziei na wyleczenie siedmiu szalonych sołtysów.

Jednak rodziny ich są innego zdania. Sądzą, że da się uratować nieszczęśliwców. Sądzą tak z dwóch powodów. Pierwszy — to fakt, że nawet w dniach napadu końskiego szaleństwa sołtysi wywracają stawiane przed nimi koryta z owsem i sieczką, opychają się natomiast razowcem ze słoniną, co się koniom — jak świadczą najstarsi chłopi — na ogół nie zdarza. Drugi — to nadzieja, że przewodniczącemu powiatowej rady narodowej w Łosiowej Górze znudzi się kiedyś czytanie sprawozdań i wówczas, prawdopodobnie, zapragnie on dokończyć przerwaną w tak niefortunny sposób inspekcję w terenie. A potem zechce skończyć z „końską polityką" swych podwładnych...

W ten jedynie sposób siedmiu szalonych sołtysów, uwolnionych od zmory ciągłych końskich (a także innych!) spędów i przeglądów, mogłoby wrócić do zdrowia i — pracy w swoich gromadach.

Tak samo zapewne sądzą i czytelnicy.

Tym ostatnim autor winien jest maleńkie wyjaśnienie. Opowieść o siedmiu sołtysach nie została zmyślona — jest ona wzięta wprost z życia, za wyjątkiem sprawy zbiorowego obłędu sołtysów.

Ale powiedźcie sami — czy tu nie można było dostać bzika n a p r a w d ę?

TADEUSZ SŁUPECKI

HELENA ZAWORSKA

SZLAKIEM POLSKICH „JAKOBINÓW”

Wybór tradycji narodowych, właściwa, klasowa ocena dorobku literackiego i kulturalnego, ukazanie rodowodu polskiej postępowej myśli społecznej i polskiego ruchu rewolucyjnego —oto zadania bez spełnienia których nie do pomyślenia jest tworzenie wartości i wytycznych rozwoju nowej kultury socjalistycznego narodu. Szerokie i planowe badania, jakie prowadzi się nad przewartościowaniem i właściwym ukazaniem naszej historycznej przeszłości przeniosły się z seminariów uniwersyteckich oraz pracowni instytutów naukowych także i do literatury pięknej. Fakty te świadczą iż. rola tradycji narodowych w współtworzeniu kultury socjalistycznej (podkreślona tak wyraźnie przez ostatnie Plenum KC PZPR) została słusznie doceniona. Nowe pozycje z gatunku powieściowych biografii historycznych, szybki rozwój tego typu powieści posiadają dla wymienionych powodów jak najbardziej pozytywną wymowę. Toteż zarówno ze względu na charakter rozwoju naszej literatury, w której ten typ powieści powinien znaleźć poczesne miejsce, jak i na rolę popularyzatorską, spełnianą przez te utwory, należy z zadowoleniem zanotować fakt ukazania się na półkach księgarskich w ostatnim roku szeregu pozycji, których ambicją stało się bądź ukazanie walki o wyzwolenie narodowe i rewolucję społeczną, jak to ma miejsce w książkach Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego („Jakub Jasiński”), Leon Przemskiego („Szary Jakobin”) i Stanisława Strumph-Wojtkiewicza („Generał Komuny”), bądź też stworzenie prawdziwego obrazu postaci tak dla kultury polskiej doniosłych, a tak świadomie przez literaturę burżuazyjną fałszywie przedstawianych, jak Fryderyk Chopin i Juliusz Słowacki (Jerzy Broszkiewicz „Kształt miłości” i Mieczysław Jastrun „Spotkanie z Salomeą”).

Wszystkie wymienione pozycje dotyczą jednego właściwie okresu, choć chronologicznie obejmują dość duży szmat czasu: od epoki rewolucji kościuszkowskiej („Jakub Jasiński”) aż po powstanie styczniowe i walki paryskich komunardów („Generał Komuny”). Okres ten można uważać za jednolity ze względu na sytuację, w jakiej znajdował się kraj, a którą Fryderyk Engels ujął w zwięzłej ocenie: „Polska stoi przed alternatywą — albo być rewolucyjną, albo zginąć”. Innego wyjścia istotnie nie było. Warunki wymagały dwóch zasadniczych posunięć: w polityce społecznej — uwłaszczenie chłopów, likwidacji stanowej przewagi szlachty, a więc rewolucji społecznej, bez której nie mogła mieć żadnych szans zwycięstwa walka narodowo - wyzwoleńcza; w polityce międzynarodowej konieczne było zrezygnowanie z zabiegów przy gabinetach reakcyjnych rządów i oparcie się o ruchy rewolucyjne postępowej Europy. Toteż wiek XIX zapisuje piękne karty w tradycjach polskiej myśli postępowej i walk rewolucyjnych. W walce z wrogiem wewnętrznym i rodzimą reakcją hartowali się ludzie tacy, jak Jagub Jasiński, jakobin Kozłowski, Walery Wróblewski. Po stronie rewolucji i wolności ludów opowiadały się strofy poezji Słowackiego i stały chopinowskie „armaty w kwiatach”, jak nazwał muzykę Fryderyka Robert Schumann. W walkach o wyzwolenie narodowe i społeczne, w pełnym głębokiego internacjonalizmu zrozumieniu i sojuszu polskich rewolucjonistów, rosyjskich dekabrystów i francuskich komunardów, w postawie Juliusza Słowackiego w pamiętnym roku Wiosny Ludów, w setkach taktów spisanych ręką Chopina należy szukać tego, co dla tradycji narodowej najistotniejsze i co spełnia doniosłą rolę w rozwoju naszej socjalistycznej kultury. Ukazanie tych wartości, sięgnięcie po tego rodzaju tematykę, próba ukazania szerokiemu ogółowi historycznych perspektyw rewolucyjnej myśli i walki — to niewątpliwe zalety wszystkich pięciu pozycji.

JAKUB JASIŃSKI—„MŁODZIAN*) PIĘKNY I POSĘPNY”

Jakub Jasiński — jakobin, organizator insurekcji kościuszkowskiej na Litwie, poeta - rewolucjonista nie miał entuzjastów skorych do czerpania tematyki z jego bujnego, otoczonego niemal legendarnym urokiem żywota. Burżuazyjni historycy literatury pisali o nim stosunkowo niewiele, a jeżeli niesposób już było go pominąć, decydowano się przede wszystkim na uwzględnienie liryczno - sentymentalnych rymów i rozczulano się iż nikt zapewne nie wie, że jest on autorem popularnej piosenki „Chciało się Zosi jagódek”. Strona rewolucyjna zarówno jego życia, jak i poezji nie pasjonowała panów, którzy mieli do jakobinów uzasadnione klasowym interesem pretensje. Świadomie zapomniany poeta — żołnierz nie nadawał się do legend z cyklu „bohaterstwo braci szlachty”, a do opracowań historyczno-literackich miano „wdzięczniejsze” tematy.

Trzeba było dopiero postępowej i solidnej rewizji naszej przeszłości, by postać Jakuba Jasińskiego zajaśniała w pełnym blasku jego wartości ideowych i artystycznych. Książka Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego jest pierwszą powieściową biografią rewolucyjnego poety i żołnierza. Tym większa ciąży na niej odpowiedzialność. Ma ona zbliżyć postać Jasińskiego, ukazać go na tle epoki, stworzyć portret,



Stanisław Ryszard Dobrowolski

który wyjaśniłby serdeczność i tajemniczość, z jaką namalował go w „Panu Tadeuszu” Mickiewicz krótkim określeniem „Młodzian piękny i posępny”. Charakter beletrystyczny pracy ułatwić miał kontakt z czytelnikiem, spopularyzować postać, której nie można nie znać.

Książka Dobrowolskiego jednak sprostała nie wszystkim z tych wymogów. Zacznijmy od typu pracy, jej konstrukcji sposobu w jaki suma wiadomości o Jakubie Jasińskim miała przekształcić się w artystyczną syntezę. Dobrowolski w wyborze między powieściową biografią, a pracą historyczną nie powiedział ani tak ani nie. Praca jego stanowi jakąś pozycję pośrednią. Starając się być jak najwierniejszy faktom korzystał obficie z dokumentów, listów, nawet publicystyki, uprzedzając zresztą czytelnika w przedmowie iż „przy komponowaniu literackich obrazów, scen i dialogów przenosi niejednokrotnie żywcem cudzą treść do swojego utworu”. Nie najlepiej jednak odbiło się to na książce. Dążenie do jak najwierniejszego oddania myśli i idei ludzi owej epoki prowadzące do tak częstych dosłownych zapożyczeń pozbawiło autora oryginalności i pewnej swobody posługiwania się materiałem historycznym przy konstrukcji scen i obrazów. Ze względu na beletrystyczny charakter pracy cechy te obciążają książkę jako pozycję literacką. Nie są to jednak jedyne konsekwencje jakie pociąga za sobą metoda autora. Wpływa ona również na ścieśnienie horyzontów książki sprowadzenie jej w wielu wypadkach do relacji o faktach i myślach podawanych wiernie i dokładnie, lecz zwężających zakres pracy do zebrania pewnej sumy wiadomości bez szerokich uogólnień bez ukazania powiązań, bez interpretacji faktów. Dobrowolski nie mógł wykorzystać możliwości historyka - naukowca, ale nie wykorzystał też w pełni możliwości pisarza. Nie zdobył się na ten rozmach, który w powieści decyduje o tym, że dobór faktów, charakterystyka postaci, motywacja zdarzeń dają w całości pogląd na epokę nie poprzez cytaty i relacje, lecz przez uogólniające, wielostronne, ukazujące to, co typowe obrazowanie artystyczne. Dlatego postać Jasińskiego niekiedy roztapia się w obrazach tak natłoczonych drobiazgami, jak rozdział pierwszy „Piknik”, to znów wydaje się czytelnikowi papierowa i nieprawdopodobna, gdy autor każe jej myśleć cytatami ze Staszica i Kołłątaja.

To jednak dopiero pewne błędy książki. Nie są one decydujące na tyle, by można było odmówić pracy Dobrowolskiego wartości poznawczej i ideowej. Książka daje rzetelne wiadomości o epoce, o działalności młodego rewolucjonisty, o wielkiej wadze ideologicznej jego poezji. Ukazuje sieć intryg przeciwników Jasińskiego bojących się konsekwenci jakobińskiego hasła „Idźmy za przykładem Francuzów”, odkrywa brak rewolucyjnej dojrzałości wśród przywódców powstania kościuszkowskiego, opanowanych przez koterię „umarkowanej jaśniewielmożności”, dla której rewolucja socjalna stanowi niebezpieczeństwo groźniejsze od przemocy carskiej. Ukazanie postaci jednego z najbardziej postępowych bojowników epoki, wydobycie najbardziej rewolucyjnych akcentów, jakie przybrała insurekcja kościuszkowska na Litwie sprawia, że książka Dobrowolskiego spełnia funkcję, o której przed przeszło stupięćdziesięciu lat mówił Jakub Jasiński: „Nauka o dawnych czasach tyle tylko zatrudniać powinna, ile wystawia na widok ducha prawa, przyczyny wzrostu lub upadku, które każdy stosować może do swego pożytku”.

*) Stanisław Ryszald Dobrowolski — Jakub Jasiński—„Młodzian piękny i posępny” W-wa, 1951 P. I. W., str. 247.

„SZARY JAKOBIN”*)

Postępowe tradycje myśli społecznej i walki rewolucyjnej znaczą się etapami powstań: kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego. Żadne z nich nie przyniosło pełnego zwycięstwa radykalnej lewicy, ale każde było momentem najdramatyczniejszej walki między szlachecko - magnacką reakcją, a radykalnym nurtem rewolucyjnym.

Książka Leona Przemskiego „Szary Jakobin” ukazuje powstanie listopadowe z tego właśnie punktu widzenia — obrony interesów narodu przez lewicę demokratyczną oraz zdrady ich przez obóz ziemiańsko - magnacki, który walkę zainicjowaną przez lud warszawski wypaczył świadomie dla ciasnej perspektywy intratnej — ze względu na ich wschodnie majątki — ruchawki zbrojnej, grożącej carowi tylko w imię tym korzystniejszego później z nim porozumienia. Powstanie staje się narzędziem w walce o ewentualne zyski, staje się w rozumieniu kół rządzących aferą, do pomyślnego zakończenia, której prowadzić mogą wszystkie drogi, nawet zdrada kraju (pertraktacje z Metternichem wygrywane przeciwko polskim rewolucjonistom).

Obok pałaców Krakowskiego Przedmieścia, gdzie stary Koźmian szkaluje Mickiewicza i czyta swoje arcynudne „Ziemiaństwo”, Czartoryski przyjmuje Meternichowskich konsulów, a panicze prawią dusery pięknym damom — istnieje jednak Stare Miasto i ludzie tacy, jak Stach Mierzwa, Wawrzek Białas, którzy reprezentują ujawniający się w dniach sierpniowych niepodległościowy żywioł demokratyczny stolicy.

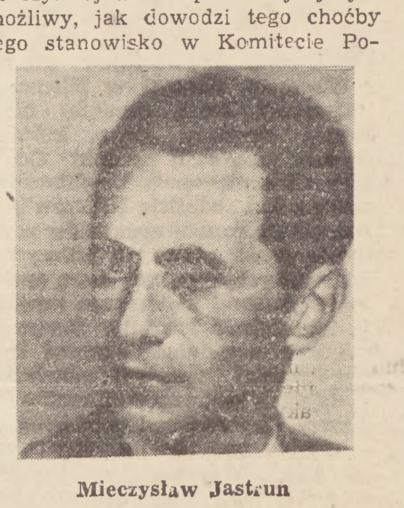
Rozwarstwienie ideowe jest ukazane przez Przemskiego wyraźnie i nie jest przypadkowe, lecz ilustruje podstawowy konflikt klasowy epoki. Klęska powstania listopadowego została zarysowana z jej całym podłożem społecznym, uwarunkowana polityką obozu, który celowo unika bitwy, a zarządza parady i modlitwy.

Wnikliwa na ogół obserwacja charakteryzuje również spojrzenie Przemskiego na rewolucyjny klub „Towarzystwa Patriotycznego”, w którym rozróżnia nurt umiarkowany i radykalną, demokratyczną lewicę (Mochnacki, Kozłowski). Postać Szarego Jakobina — Józefa Kozłowskiego, który wiąże klub z rzemieślniczą, rewolucyjną Warszawą, dąży do rewolucji społecznej i wbrew klubowym zwolennikom konstytucyjnej monarchii wypowiada się za utworzeniem rządu republikańskiego — jest słusznie przez autora pasowana na pozytywnego bohatera epoki powstania listopadowego. Ale konsekwencja w docenianiu wagi działalności Kozłowskiego zaprowadziła autora o krok za daleko. Tajemnicza, nieoczekiwana śmierć Kozłowskiego gwałtownie załamuje koniec powieści. Ukazanie postaci bohatera na tle i w ścisłym związku z epoką, jest niewątpliwą zaletą książki Przemskiego i sprawia, iż bohaterem jest nie tylko warszawski jakobin, ale cały ruch rewolucyjny, który on reprezentuje. Tak jest jednak tylko do pewnego momentu. W chwili, gdy Kozłowskiego w najbardziej decydującej sytuacji choroba odsuwa od warszawskich wypadków pamiętnego sierpnia 1831 r. — wypadki te znikają i z książki Przemskiego, która daje dokładny obraz przygotowań do nich. Zaskoczony czytelnik zapytuje w rozterce czy postać Kozłowskiego miała tu ilustrować i charakteryzować akcję rewolucyjną jakobinów, czy też nici społecznych i politycznych konfliktów były ważne tylko ze względu na zainteresowanie nimi Józefa Kozłowskiego. To uproszczenie. Ale niepokojący akcent zakończenia sugeruje przypuszczenie, że ze śmiercią bohatera kończy się problematyka powieści. Tymczasem dopiero wypadki sierpniowe były właściwym punktem kulminacyjnym owej problematyki i klęska nie była tylko skutkiem śmierci szarego, lecz niezastąpionego jakobina oraz faktu, iż „Krukowiecki okazał się podlecem, a generałowie zawiedli”. Ambicją autora było obok postaci polskiego jakobina ukazać rewolucyjny plebs warszawski i ukazuje go w powieści. Zawodzi jednak w momencie, gdy ów drugi bohater jego książki dochodzi do głosu. Zdawkowe uwagi na ten temat emigrujących uczestników powstania nie wyjaśniają sytuacji. Ukazanie wypadków sierpniowych i pełna ocena tego żywiołowego wybuchu podniosłyby wymowę książki, której wartość ideowa i artystyczna jest przecież niewątpliwa.

*) Leon Przemski — „Szary Jakobin” W-wa 1951. Wyd. Min. Obrony Nar., str. 316.

SPOTKANIE Z SALOMEĄ*)

Powieść Mieczysława Jastruna, w przeciwieństwie do pracy o Jakubie Jasińskim, jest powieścią, w której dokumentacja historyczna schodzi na plan drugi, a oddzielenie prawdy od zmyślenia nie jest sprawą prostą. Niewątpliwie główną tego przyczyną jest fakt, iż do opisywanego okresu życia Słowackiego dokumenty nie istnieją. Źródła historyczne milczą o tym, jaka treść wypełniła dwumiesięczny pobyt poety we Wrocławiu 1848 roku. Lukę tę postarała się zapełnić wyobraźnia autora. Czy wyobraźnia ta miała realne dane, jakieś wnioski wyciągnięte na podstawie listów czy poematów, jakieś przypuszczenie na podstawie przewidywań, w jakim kierunku mógł pójść dalszy, ideowy rozwój poety? Oczywiście sugestie, iż tak właśnie potoczyły się wypadki wrocławskie i taka była ewolucja ideologiczna Słowackiego mają swoje uzasadnienie zarówno w jego postawie wobec wypadków poznańskich (docenienie elementu plebejskiego w ruchu rewolucyjnym), jak i jeszcze w jego ideowym credo „Odpowiedź na Psalmy Przyszłości” gdzie spoza mistycznej zasłony brzmią wyraźne akcenty rewolucyjnego demokratyzmu. Wyciągnięte z tych i wielu faktów wnioski o charakterze przemian w świadomości poety, jakie przyniosła wiosna 1848 roku zdają się być prawdopodobne i możliwe. Słowacki był już na tym szczeblu rozwoju ideowego, z którego skok od deklaratywnego i formalnego na razie uznania się za „pomocnika rewolucji nieuniknionej” do czynnej walki społecznej był już możliwy, jak dowodzi tego choćby jego stanowisko w Komitecie Po-



Mieczysław Jastrun

znańskim. Ale przeciwko autorowi „Spotkania z Salomeą” należy wysunąć zarzut innego rodzaju. Cóż wiemy o postaci Juliusza Słowackiego na podstawie książki Jastruna? Portret wielkiego poety, mimo starań autora, nie wypadł przekonywająco. Wiemy o nim, że niecierpliwie czeka na matkę, z którą ma spotkać się po 18-tu latach rozłąki, że jest zasobny w bilety kasy Laffitte oraz akcje drogi żelaznej, a więc umie pokierować finańsową stroną swego życia bynajmniej nie w sposób górny i chmurny, ale jak najbardziej realny, że lubi rozmowy o pięknie i sztuce z nadobną panią Zofią Mielęcką i uważa się za geniusza ludzkości, gdy zapuszcza się w ciemne tajnie swoich mistycznych rozważań, z których w kraju — och, nie to, co na Emigracji! — potrafią niektórzy drwić w żywe oczy. Mały szczupły mężczyzna, przechadzający się w oczekiwaniu na matkę po debarkaderze wrocławskim jest człowiekiem wysubtelnionym, wrażliwym na piękno, nieco rozkapryszonym przez długą chorobę i nienormalne warunki emigracyjne. W spotkaniu z panią Salomeą reprezentuje stronę słabszą, zbłąkaną na trudne do pojęcia manowce mistycyzmu, rozdartą w męce pierwszych zwątpień w mistyczną ideę, która nie może się ostać wobec prostych faktów życia. Słowacki jest pełen konfliktów i sprzeczności, myśli najbardziej rewolucyjnych i najbardziej reakcyjnych. Zaczynamy patrzyć na „Jula” oczyma matki, jej ocena z perspektyw krzemienieckich doznań i doświadczeń uchyla się pokornie od rozstrzygnięć, o które nie chce się nawet kusić. Ta pokora ma w sobie jednak wiele pobłażania zdrowego rozsądku dla dziwactw geniuszu... Kontakt Słowackiego z Jakubem Krysztoszoficzem, krajowym działaczem rewolucyjnym decyduje o przejściu poety na pozycje czynnej walki rewolucyjnej. Decyzja wielkiej wagi. Na decyzji się kończy, do działania nie dochodzi z powodu aresztowania Krysztofowicza i zmuszenia Słowackiego do natychmiastowego wyjazdu. Ale przejście poety na pozycje skrajnego radykalizmu pozostaje faktem. Faktem, do którego autor niezupełnie przygotował czytelnika. Postać Słowackiego rozfilozofowana, rozdrobniona na mnóstwo informacji o uczuciach poetycznych i wzruszających, lecz przelotnych, traktowana z wielkim współczuciem i lekkim pobłażaniem — nie jest przekonywająca i czytelnik do końca nie jest pewien, czy wielka decyzja nie jest kaprysem lub rozpaczliwą decyzją człowieka, który po prostu nie chce wracać do beznadziejności paryskiego życia. Poetyczne zamazanie postaci Juliusza osłabia nieco wymowę przeżywanej przez niego ewolucji i podjętej decyzji.

Braki te nie zmieniają faktu, iż próba ukazania tego nieznanego wycinka życia poety, jest pozytywnym wkładem do nowej interpretacji ewolucji naszych romantyków, która dla burżuazyjnych historyków kończyła się mistycyzmem — jako szczytem osiągnięć, a która w istocie przedłużała się i u Mickiewicza i u Słowackiego aż do granic rewolucyjnego demokratyzmu.

*) Mieczysław Jastrun — „Spotkanie z Salomeą”, W-wa, 1951, PIW, str. 233.

„KSZTAŁT MIŁOŚCI” *)

Wśród wydanych ostatnio biografii historyczno-literackich książka Broszkiewicza posiada szczególne znaczenie jako powieść sięgająca po odmienne i specyficzne tradycje rewolucyjne przeniesione geniuszem Fryderyka Chopina z rzeczywistości owych burzliwych lat XIX wieku w świat muzyki zamykającej swą treść ideową w skomplikowanym kształcie artystycznym. Wobec znaczenia, jakie muzyka Chopina posiada w naszej kulturze narodowej oraz wobec faktu, iż dotychczasowa interpretacja literacka życia i dzieła wielkiego muzyka ograniczała się do uroku legendy obracającej się w kręgu spraw małych, łzawych i nie najważniejszych — książka Broszkiewicza spełnia specjalnie ważną funkcję.

Pierwszą i decydującą o wartości pracy Broszkiewicza cechą jest ukazanie życia i dzieła Chopina w ścisłym związku z epoką, z której wyrósł i której świadectwo pozostawił nam w swoim dziele. Żadne motywy i tematy wielkiego muzyka nie przyszły na świat „z kraju Muzyki Od Wszystkiego Niezależnej. Takiego kraju nie ma. Muzyka jest sprawą bardzo ludzką — sprawą nie tylko jednego człowieka — twórcy i jednego człowieka — odbiorcy. Temat sonaty h-moll sformułował i zapisał znakami pozornie abstrakcyjnymi Fryderyk Chopin. Owa sonata jednak jest świadectwem stosunku Fryderyka Chopina do widzialnego, żywego, ludzkiego świata”. Te „pozornie abstrakcyjne znaki” muzycznych fraz i tematów przekłada Broszkiewicz na słowa, które wprawdzie nigdy nie opowiedzą pierwszego tematu sonaty h-moll, ale które ukazują rodowód piękna muzyki chopinowskiej, źródło jego wielkiej twórczości, treść ideową jego kompozycji.

Trudno jest pisać o Chopinie i jego kontaktach z epoką — Fryderyk nie należał do osób manifestujących słowem swe przekonania, sympatie, poglądy. To prawda. Ale sposób, w jaki Broszkiewicz chciał pokonać tę trudność nie zawsze jest szczęśliwy. Charakterystyka epoki, zajmująca wiele, może nawet zbyt wiele stron książki rozmija się niekiedy na tyle z życiem Chopina, że wydaje się wątpliwa konieczność tak szeroko rozbudowanej części relacyjnej. Rozbija to kompozycję powieści na dwie części — beletrystyczną, dającą obraz życia i drogi twórczej Chopina oraz opisową, historyczną, zamykająca się w ramach relacji o faktach. Dwie te części łączy zwykle komentarz autorski, przykrywający wielkie wypadki na szerokim świecie do losów genialnego Polaka. Oczywiście zarzut nie idzie w kierunku negacji owych ścisłych związków bohatera z epoką i losem jego narodu. Nie zbyt szczęśliwe tylko wydaje się takie — powiedzmy nieco uproszczone — przedstawienie owych powiązań.

„Muzyka — jest jak każda sprawa ludzka” — stwierdza słusznie autor. Ale każda sprawa ludzka dla zrozumienia jej wymaga ukazania pełnego człowieka. Tymczasem postać Fryderyka Chopina gubi się w pierwszym tomie w charakterystyce warszawskich salonów, kawiarni, dysput, gubi się również i w części drugiej, gdzie autor dużo mówi o jego narodowym geniuszu, ale zbyt często ukazuje go jako poetycznego salonowego dandysa lub samotniczego cierpiętnika. Odautorski obraz epoki, charakterystyka Chopinowskiego talentu zasłoniły niekiedy ludzką postać wielkiego artysty.

Książka Broszkiewicza — mimo pewnych braków — spełniła ważną funkcję wśród serii historycznych powieści. Niewątpliwymi walorami są w „Kształcie miłości”: ukazanie tej najistotniejszej prawdy, iż Chopin „w poszukiwaniu narodu, w poszukiwaniu rzeczywistych jego przedstawicieli związał swą myśl i wyobraźnię z tymi, których przecież nie uważano nawet za godnych nazwy synów narodu”, powiązanie rewolucyjności muzyki Chopina z najbardziej postępowymi i rewolucyjnymi ruchami epoki, ukazanie, jak nowa treść ideowa rodzi w twórczej męce Chopinowskiego poszukiwania „Kształtu miłości” — nowe formy. Talent młodego pisarza sprawił, że książka o Chopinie jest jedną z najpiękniej napisanych powieści biograficznych, posiada fragmenty, w których staje się niemal prozą poetycką, przybliża dźwięk słowa do czaru Chopinowskiej muzyki.

*) Jerzy Broszkiewicz — Kształt miłości, W-wa, Czytelnik, cz. 1 — 1950 r. — str. 192. Cz. 2 — 1951 r., str. 205.

„GENERAŁ KOMUNY” *)

I wreszcie ostatni chronologicznie okres, w który powieść historyczna sięgnęła po rewolucyjne tradycje narodowe. Okres powstania 1863 roku, walk z carem oraz starć między obozem „białych” i „czerwonych” o charakter powstania, o reformy społeczne, o stworzenie warunków do wielkiej wojny narodowej, w której wziąłby udział cały naród, a nie tylko jego uprzywilejowana, uszlachcona część. Powstanie upadło wskutek polityki rodzimej reakcji bojącej się rewolucji socjalnej, wskutek obłudnej polityki zagranicznych gabinetów, które zdobyły się tylko na puste gesty. Polacy, dla których sprawa polska łączyła się ze sprawą europejskich nurtów rewolucyjnych walczyli na wszystkich odcinkach, gdzie toczyła się walka o wolność. Polacy stanowili najliczniejszą grupę wśród cudzoziemców, którzy poszli na barykady Komuny Paryskiej. Do ludzi tych należał Generał Komuny — Walery Wróblewski — bohater książki Strumph Wojtkiewicza. Książka ta, bezpretensjonalna w swej formie beletrystycznej, solidna w podawaniu faktów historycznych — daje obraz epoki prosty i prawdziwy. Na przykładzie postaci rewolucyjnego uczestnika powstania styczniowego, a potem dowódcy proletariatu francuskiego w walkach Komuny ukazuje autor najpiękniejsze tradycje rewolucyjne Polaków walczących o „wolność naszą i waszą” w programie międzynarodowego internacjonalizmu, występujących z hasłem „wszystko dla ludu przez lud” na gruncie spraw narodowych. Wróblewski, „demokrata z pojęć, z zasad, z ducha — rewolucyjny radykalista z krwi i kości” — jak sam siebie nazywa został przez autora ukazany w sposób stosunkowo pełny i wszechstronny, począwszy od jego pierwszych kontaktów z rewolucjonistami rosyjskimi a skończywszy na współpracy z Karolem Marksem, Engelsem i I Międzynarodówką.

Strumph Wojtkiewicz ukazując jak najbardziej wsteczną politykę papiestwa i rządów reakcyjnych przeciwstawia im internacjonalizm rewolucyjnych grup Europy, dowo-



Stanisław Strumph-Wojtkiewicz

dzi, iż wielką i wyłączną szansą Polski owych lat mogło być tylko zrozumienie faktu podkreślanego przez Marksa, iż „Polska w Europie ma i mieć może tylko jednego sprzymierzeńca, a mianowicie międzynarodową klasę robotniczą”.

Zwięzła, skondensowana książka o Polskim Generale Komuny nie jest powieścią pretendującą do oryginalności literackiej czy historyckiej. Daje jednak sumę faktów zamykających godny poznania okres walk rewolucyjnych i na tym polega jej wartość.

* * *

„Renesans” powieści historycznej, notowany w bieżącym roku wydawniczym, przyniósł pozycje ciekawe i rokujące jak najlepsze nadzieje temu gatunkowi literackiemu, przed którym stoją zadania przetworzenia historycznych wiadomości w artystyczną formę obrazowania literackiego. Możemy oczekiwać pozycji następnych, które podjęłyby nowe tematy, ukazały nowe perspektywy historyczne rewolucyjnej tradycji narodowej.

Helena Zaworska

*) Stanisław Strumph Wojtkiewicz — „Generał Komuny”, Warszawa, 1951, PIW, str. 239.

SEWERYN SKULSKI

Siódmym krzyżem był hitleryzm dla niemieckiej klasy pracującej

Jeszcze dziś, szczególnie na wsi, tu i tam zdarzy się słyszeć takie powiedzenie, że wszyscy Niemcy są jednakowi, żadnemu wierzyć nie należy i, że „dopóki świat światem, Polak nie był i nie będzie Niemcowi bratem.“ Słyszy się przy tym, że hitleryzm był wspierany przez wszystkich Niemców.

Prawdą jest, że nasz naród, nasze państwo od czasów swojego powstania najwięcej przykrości, udręki, krzywdy i gwałtów doznało od państwa niemieckiego. Ale aby wiedzieć, jakiemi drogami ta krzywda szła ku naszemu narodowi, trzeba znać nie tylko własną historię, trzeba znać historię powstania i rozwoju państwa niemieckiego. Trzeba wiedzieć, kto i jak tam panował, trzeba znać zaborczość i butę junkierstwa niemieckiego i trzeba znać historię niemieckiej klasy robotniczej.

Jak nie prawdą jest, że każdy z nas, każdy Polak i każda Polka, wspieraliśmy magnaterię naszą, a następnie piłsudczyznę i sanację w ciągłym marszu na Ukrainę, Białoruś i Litwę w celach zaborczych, dla prześladowań narodowych i wydzierania ziemi ojczystej podbitym oraz niszczenia ich języka, tak samo nie prawdą jest, że każdy Niemiec i każda Niemka wspierali junkierstwo swoje, a następnie hitleryzm w pochodzie na naszą ziemię i w niszczeniu naszego narodu, naszej kultury i naszego istnienia narodowego.

Niedawno ukończyłem lekturę pięknej i nader cennej powieści Anny Seghers„ utalentowanej pisarki demokratycznych i postępowych Niemiec. Jej książka „Siódmy Krzyż“ to nie fantazja. To żywy i prawdziwy obraz śmiałej walki, oporu i nadludzkich poświęceń części narodu niemieckiego, klasy robotniczej, chłopów i inteligencji. Autorka ukazuje znęcanie się hitleryzmu nad ludźmi, którzy w hitleryzmie widzieli zbrodnie i barbarzyństwo. Anna Serghers opisuje obóz koncentracyjny, gdzie hitlerowscy oprawcy mordowali i znęcali się nad ludźmi, którzy ukochali życie wszystkich ludzi tak samo jak własne. Opisuje ona jedną z ucieczek kilku więźniów z obozu, ich przejścia i tragizm ich dni. Ale nie tylko to jest ciekawe w „Siódmym Krzyżu.“ O wiele ciekawsze jest to, że ci uciekinierzy u licznych, nieznanych im przedtem ludzi znaleźli pomoc nie tylko moralną, ale i materialną. Przecież ci pomagający od zwykłych robotników, chłopów do lekarzy — wiedzieli kto są ci uciekinierzy i wiedzieli też, czym im grozi życzliwość dla zbiegów. Mimo to nie tylko podali im rękę i przechowywali ich we własnych domach, ale i polecali ich innym ludziom w potrzebie.

Seghers zajmuje się antyhitlerowcami już w czasie wojny. Mógłby jej ktoś z tego zarzut uczynić, tak pisała, gdyż przeczuła przegraną hitleryzmu, i pragnęła część narodu niemieckiego pokazać światu nie w oparach idei gestapowskiej. Tak nie jest. Czołowy odłam narodu niemieckiego, klasa robotnicza, od początku walczyła ze zbrodnią hitleryzmu, jeszcze na długo przed wojenną agresją hitleryzmu. Przed lekturą „Siódmego Krzyża“ przeczytałem „Naszą Ulicę“ Jana Petersena, mieszkańca Berlina, który w żywych obrazach pokazuje walkę berlińskiej klasy robotniczej ze szturmowcami Hitlera. Zajmuje się on najbardziej jedną z ulic w Berlinie, która prawie wyłącznie była zamieszkała przez robotników. Nie prędko i nie łatwo szturmówki zdobyły tę ulicę gwałtem i terrorem, ale nie zdobyły jej nigdy swoją ideologią. Z domu kultury klasy robotniczej, jaki znajdował się na tej ulicy, hitlerowcy uczynili katownię, gdzie liczni poginęli w męczarniach. Ale w dniach największego triumfu hitleryzmu i pełni jego władzy ulica ta pokazała w dzień zgonu jednego ze swoich przywódców, że nigdy duch klasy robotniczej nie został złamany. Mężczyźni, kobiety i dzieci w postawie swojej ukazali nienawiść do hitleryzmu.

Prawdą jest, że hitleryzm zdołał zaszczepić bakcyle i jad nienawiści do wszystkiego, co nie tchnęło hitleryzmem, zaborczością i morderstwem, ale to uczynił hitleryzm nie o własnej sile. Ci mu pomogli, ci sami, którzy dziś odradzają ten sam hitleryzm i jego militaryzm, ażeby znów rozpocząć ten sam łańcuch krzywd, a którzy tak łaskawi są dla zdrajców naszego narodu, Mikołajczyka. „rządu londyńskiego“ i całej naszej sfory reakcyjnej. Do zbrodni pomogli hitleryzmowi tacy dawniejsi z duchem dzisiejszych Trumanów, Achesonów, Mac Arthurów i Eisenhowerów.

Nieprawdą jest, że każdy Niemiec jest moim wrogiem, a ja wrogiem każdego Niemca. Ja dziś chylę czoło przed każdym cierpieniem i męką, śmiercią i ofiarą takiego Niemca, który padł w walce z hitleryzmem — w obronie spokoju mojego domu w Polsce. Dziś wielu Niemców chyli czoło przed partyzantem, moim bratem, za jego walkę partyzancką z hitleryzmem. Nie naród niemiecki jest moim wrogiem i wrogiem granic mojego państwa ludowego. Wrogiem moim i granic państwa jest imperializm amerykański, który dla swoich celów panowania nad światem i dla zamiarów rozpętania nowej rzezi światowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej, zbroi Niemcy Zachodnie i odradza ten sam dziki, a zbrodniczy hitleryzm. Niemcy ludowe to siostra mojej ludowej Polski. Naród niemiecki w swojej demokratycznej republice, niemiecka klasa robotnicza nie ma innych celów poza celami mojego narodu i mojej klasy robotniczej — zgodę, współpracę, odbudowę, lepszy byt, podniesienie kultury i jedną i taką samą walkę o pokój. I w Niemczech Zachodnich naród niemiecki, chłop, robotnik, inteligent pracujący nie są moimi wrogami i mojego kraju. Moimi wrogami jest tam klika bogaczy i reakcjonistów, panująca i wykonująca wszystkie życzenia największego wroga naszych narodów, imperializmu amerykańskiego. Moimi i mojego kraju wrogami są tacy jak Anders i Cat-Mackiewicz i hrabiowie polscy, którzy czołgają się u stóp sług imperializmu amerykańskiego, u stóp Adenauera ofiarowującym mu ziemie piastowskie po Olsztyn, Poznań i Wrocław, aby na pozostałym skrawku polskiej ziemi raczył im oddać folwarki, banki i bat nad narodem.

Wizyta Prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Warszawie i nasze serdeczne przyjęcie, rewizyta naszego Prezydenta w Berlinie i takie samo serdeczne przyjęcie, świadczą o przyjaźni i pokojowych dążeniach obu narodów sąsiadujących ze sobą. Większa część narodu niemieckiego czy to w zachodnich czy wschodnich Niemczech, brzydzi się dzisiaj zbrodniami popełnionymi nad narodem naszym przez junkierstwo i hitleryzm. My znów znając rodowody tych zbrodni, nie pałamy nienawiścią do tych, którzy tej zbrodni nie uczynili, bo wiemy, że te same siły popełniały zbrodnie nad własnym niemieckim narodem i te same siły naszej własnej reakcji chwytały się zbrodni w stosunku do naszego narodu.

Wrogiem jest nie naród niemiecki i Niemiec jako taki. Wrogiem jest zaborczy hitleryzm i militaryzm. Wie o tym także naród niemiecki i niemiecka klasa robotnicza, która nie bagnet, ale ręce ku nam wyciąga, gdyż przed nami jeden cel: zwalczanie tej samej imperialistycznej zbrodni. Demokratyczne i pokojowe a zjednoczone Niemcy, nigdy naszym wrogiem nie będą. Walczmy zatem na równi z narodem niemieckim o demokratyczne zjednoczenie całych Niemiec. Przez zniszczenie hitleryzmu i militaryzmu, podsycanego przez amerykański imperializm zapewnimy nie tylko naszemu i niemieckiemu narodowi spokojną pracę, ale i pokój innym narodom świata.

Za zbrodnie bestii junkiersko-hitlerowskiej nie możemy potępiać każdego Niemca. Nasza literatura powojenna nie inaczej ocenia prawdę. Sztuka Kruczkowskiego „Niemcy“ nie z mniejszym powodzeniem grana jest i w Niemczech. Podobnie jak my dziś patrzymy na sprawę wrogości i przyjaźni, patrzy większość narodu niemieckiego i większość narodów świata. Po odsunięciu od władzy klasy pasożytniczej wrogość między narodami ginie, a rodzi się wzajemne zrozumienie, zgoda i przyjaźń.

Przykładem, jak żyje naród z narodem, a może być dzisiejsze nasze życie z narodem czechosłowackim czy narodami Związku Radzieckiego. Nie ma tu ani tam takich, którym nasza nienawiść byłaby potrzebna do klasowych celów. Jesteśmy wolnymi narodami i szanujemy wzajemnie naszą pracę, kulturę i wspieramy się wzajemnie. Tak też żyjemy i będziemy żyć z narodem niemieckim.

Seweryn Skulski

ZOFIA RZEPLIŃSKA

DRAMAT NIEMIECKI



Anna Seghers

Czytelnik polski od dawna oczekiwał ukazania się na półkach księgarskich „Siódmego Krzyża“*). Poprzedzało go nie tylko publikowanie fragmentów na łamach pism literackich, nie tylko omówienia dotyczące bądź to samej powieści, bądź ogólnie twórczości Anny Seghers. Równolegle bowiem z tłumaczeniem książki odbywał się proces przebudowy naszych wyobrażeń o Niemczech. Przekład z niemieckiego na polski dokonywał się w zamkniętych pracowniach tłumaczy — przekład naszego stosunku do Niemiec odbywał się na płaszczyźnie bardzo szerokiej, w centralnym kręgu naszych zainteresowań światopoglądowych i politycznych. Było to wyzbywanie się kategorii wyrosłych z rozumowania nacjonalistycznego — i próba rozważenia problemu niemieckiego z pozycji internacjonalizmu, jak również oceny dziejów Niemiec przy pomocy metody materializmu historycznego.

Zagadnienie niemieckie bowiem wyrasta z prawdy, że *„Hitlerzy przychodzą i odchodzą“*, lecz *„naród niemiecki pozostaje“*. (Stalin).

Dlaczego powstał w Niemczech hitleryzm? Jakie czynniki historyczne określiły epokę, która go wydała jako swój produkt? Od jakich sił społecznych i politycznych zależne jest „odejście Hitlerów“? Co warunkuje rozwój elementów w narodzie przeciwstawnych hitleryzmowi, zdolnych stworzyć nową epokę? Jakie warunki historyczne powodują ich słabość lub siłę? Roztrząsanie tych zagadnień stanowi trzon współczesnej tematyki niemieckiej w dziełach zarówno publicystów jak pisarzy. Czytelnikowi polskiemu zaś rezultaty tych analiz wyznaczają „szczeble poznania“ w trudnych studiach nad niemiecką rzeczywistością. Jednym z tych „szczebli“ wprowadzających w centrum badań nad okresem hitleryzmu jest „Siódmy Krzyż“.

Znakomita powieść Anny Seghers zajmuje bezsprzecznie pierwsze miejsce wśród jej dzieł, jakie dotąd ukazały się w polskim przekładzie. Poprzednie to: „Umarli pozostają młodzi“, „Ocalenie“,. „Linia“, „Towarzysze“.

Dramat Niemiec w ujęciu Anny Seghers — to dramat s a m o t n o ś c i w niemieckim społeczeństwie antyfaszystowskich bojowników. Badanie tego właśnie zagadnienia ułatwi zrozumienie całokształtu sprawy.

T o t a l n a a g r e s j a n a z e w n ą t r z z o s t a ł a p o p r z e d z o n a t o t a l n y m t e r r o r e m p r z e c i w k o o p o z y c j i w e w n ę t r z n e j.

Boją się wszyscy. Jedni obozu koncentracyjnego, drudzy utraty pracy — inni jednego i drugiego.

Nastrój grozy, wiszący ustawicznie nad masami społeczeństwa niemieckiego, z niesłychaną wyrazistością wielokrotnie wraca na karty powieści. Jednym z fragmentów z ekspresją najbardziej uderzającą, odtworzonych z największym kunsztem artystycznym jest powrót Aldingera do domu. Aldinger jest jednym z owych siedmiu więźniów, którzy jednocześnie uciekli z obozu koncentracyjnego i na których czeka siedem krzyży w Westhofen.

Towarzysze Aldingera sądzą, że on właśnie „wpadnie“ najszybciej z nich wszystkich, bo jest stary i niewiele w nim już sprytu i siły. Instynktem i przypadkiem Aldinger dowlókł się jednak do swoich stron. Tu jednak umiera na skraju rodzinnej wsi. Znajomi chłopi dostrzegają trupa i zanoszą go do domu, do rodziny. W ten sposób starowina Aldinger, słaby już na ciele i umyśle, przechytrzył władze i bojówki SA, gęsto rozstawione po wsi, czyhającce na więźnia w razie, gdyby chciał się zobaczyć z rodziną. Wrócił — mimo wszystkie straże! Rozdział ten jest jednym z najmocniejszych obrazów hitlerowskiej rzeczywistości w Niemczech.

Piętno Georga jest gorsze od dżumy — kto ważył się opiekować zarażonym wyzywał przeciwko sobie prawa biologiczne —ten, kto ośmielił się wyciągnąć rękę do zbiega z obozu koncentracyjnego, wchodził w konflikt z siłami stokroć silniejszymi, aparatem hitlerowskiej „sprawiedliwości“. Funkcjonowanie tego aparatu nie było zależne od przypadku, lecz od regularnie działającego mechanizmu faszystowskiego okrucieństwa. Tym siłom nie można było przeciwstawiać dobroci jednostek, wiary w przychylność losu, w szczęśliwy przypadek. Przeciwko partii NSDAP nie mogły walczyć indywidua—przeciwnikiem o współmiernej sile mogła być tylko również partia i tylko ona mogła mobilizować bierne, chwiejne masy, tylko ona mogła z Leni, Elli i Mettelheimera, Helwiga i innych czynić swoich aktywnych sprzymierzeńców.

Jak niesłychanie znamienne były wyniki wpływu Partii na tych ludzi! Wpływu nie bezpośredniego przecież, dalekiego, wyrażającego się zaledwie otarciem, potrąceniem o jej sprawę — a mimo to o jakiej przenikającej sile! Georg Heisler, komunista niemiecki, więzień obozu koncentracyjnego, idzie przez wsie i miasta swojego kraju. Idzie samotny — strach przed torturą zamyka przed nim ludzkie mieszkania. Mgła przerażenia oślepia ludzkie serca i umysły. Ale Georg walczy o wolność dla narodu, walczy przeciwko hitleryzmowi; jego postać i jego męczeństwo jest symbolem tej walki i to czyni jego wędrówkę podobną do wędrówki meteoru wśród nocy: noc trwa dalej, ale zapalają się w niej świetlne punkty.

Nie było stracone dla sprawy komunisty Heislera, dla sprawy walki przeciwko Hitlerowi niemieckie społeczeństwo! Jakże znamienna jest postawa wyrostka Hellwiga wobec sprawy kradzieży kurtki. Z początku pienił się z wściekłości, w najokropniejszy sposób złorzecząc sprawcy zaginięcia. Potem znamienne przemiany wewnętrzne doprowadzają go do tego, że dla zmylenia pościgu za więźniem w ogóle nie przyznaje się do odnalezionej rzeczy.

Dwóch dawnych kolegów Georga poznaje go i jakkolwiek radio, gazety, posterunki, niebo i ziemia objęte są jednym olbrzymim alarmem — bez namysłu odrzucają od siebie myśl usłuchania tego alarmu, solidaryzują się wewnętrznie ze zbiegiem. A żona tramwajarza Bachmanna, który pod wpływem strachu wydał Wallaua w ręce oprawców, dochodzi do obłędu z rozpaczy i nie zważając na żadne środki ostrożności, wywrzaskuje na całą okolicę, że szkoda było jej sznura do bielizny dla niego i że powinien się na nim powiesić wcześniej, zanim wydał Wallaua.

Takich objawów w książce jest więcej. Przejście Georga przez kraj znaczy się nie tylko strachem — na szlaku swojej wędrówki pozostawia za sobą wyrastające *kiełki buntu*.

Jego postać budzi nie tylko grozę — zaszczepia protest i chęć walki o sprawę, której on jest symbolem i przedstawicielem Franz, Herman, Kressowie, Roeder pod wpływem zetknięcia się ze sprawą Heislera otrząsają się z marazmu i bezwładności ideowej — stają się ludźmi czynu. Idea jego walki elektryzuje ich, wyzwalając nową energię, odkrywając nowe źródła siły. Georg i bezimienne szeregi jego towarzyszy pokazywali społe czeństwu niemieckiemu, że m o ż n a w a l c z y ć p r z e c i w k o H i t l e r o w i! To przecież w ogniu jego sprawy ukształtowały się takie słowa Roedera, że „G e s t a p o w i e t y l e, i l e m u s i ę p o w i e“, to przez niego ów pół-proletariusz Roeder bierze udział w walce przeciw faszyzmowi. W „Siódmym Krzyżu“ Roeder jest postacią tylko fragmentaryczną, ale różne znaki na niebie i ziemi wskazują, że stał się już kimś przynależnym do sprawy głównego bohatera. Nić zaczepiona przez Georga rozwinie się daleko, prowadząc go w szeregi tych pół-proletariackich elementów ludności, o sojuszu, z którymi pisał Lenin omawiając taktykę proletariatu w przewrocie socjalistycznym**).

Akcja „Siódmego Krzyża“ trwa parę dni i toczy się w 1937 r., ale Roeder i nni z zasięgu wpływu postaci Georga Heislera widzialni są jasno i na tle lat późniejszych. Czy to jako sabotażyści wyczynów „tysiącletniej“ Rzeszy, czy w roli budowniczych Niemieckiej Republiki Demokratycznej, czy jako organizatorzy walki przeciwko neo-hitleryzmowi Adenauerów, Kruppów i Eisenhowerów.

Ale Anna Seghers pokazując antyfaszystowski ruch oporu w hitlerowskich Niemczech i odtwarzając głębię jego znaczenia, nie oszczędzą jednak swemu narodowi oskarżeń. Dlaczego akcja Hermana, Franza, Kressów, Roedera nie jest ruchem powszechnym, masowym, dlaczego szlachetność innych kolegów Georga sprowadza się tylko do bierności, dlaczego strach każe Bachmannowi popełnić zbrodnię, doprowadzającą go potem do samobójstwa, dlaczego Wallau ginie zamordowany na torturach, dlaczego nad społeczeństwem panują łotry i zwyrodnialcy jak Bunsen, Overkamp, Zillich i Fahrenberg? Dlaczego pozytywne elementy w społeczeństwie były spychane w głąb lub miażdżone i jaką napędową siłą podsycany był rosnący wciąż element społecznego zła, wstecznictwa, zbrodni? Dlaczego walczący komunista Heisler był samotny, a towarzysze jego rozproszeni?

Jedyną siłą, zdolną się przeciwstawić partii hitlerowskiej, wielkiemu kapitałowi Niemiec, reakcji, kołtuństwu i mętom społecznym, wypełniającym hitlerowskie szeregi — były partie robotnicze: KPD i SPD.

Rewolucyjną siłę tej ostatniej stępiała znacznie tchórzliwa polityka kompromisu z burżuazją, prowadzona przez jej przywódców. „Siódmy krzyż“ nie analizuje ich haniebnej roli w niemieckim ruchu robotniczym — pokazuje tylko rezultaty ich praktyki.

Ale w „Umarli pozostają młodzi“ mamy m. in. taką doskonale oświetlającą te sprawy wzmiankę, kiedy kapitalista Castricious tłumaczy drugiemu kapitaliście Klemmowi: „Mamy przecież na szczęście starą partię, która gorliwie tłumaczy naszym robotnikom, dlaczego ten rodzaj rewolucji, bolszewizm, działa na ich szkodę. Partia ta oszczędza nam fatygi, wyliczając cierpliwie na palcach te wszystkie trudności, z którymi nowe państwo radzieckie musi walczyć. Więc nie mamy powodu obawiać się zbytnio rosyjskiego socjalizmu“. To właśnie charakterystyczny, obok wielu innych mu podobnych, przejaw roli SPD, Socjal - Demokratycznej Partii Niemiec — i rok 1933, kiedy Hitler doszedł do władzy m. in. na skutek braku dostatecznego oporu ze strony mas robotniczych, był uwieńczeniem tej taktyki SPD.

„Siódmy Krzyż“, pokazując kaźnię działaczy robotniczych w Westhofen, pokazując puste miejsca w ich szeregach, staje się dokumentem dramatu klasy robotniczej w tych latach. Tragicznie są już przerzedzone szeregi bojowników Ruchu Oporu przeciwko hitleryzmowi. Wielu z nich ginie w obozach śmierci, inni na skutek bestialskiego terroru tracą kontakt z organizacją, powodując wewnętrzne rozluźnienie w komórkach i w związku z tym zahamowania działalności. Bo nie tylko zdradziecka postawa przywódców SPD zawiniła w tym, że nie dotarły do mas hasła rewolucyjne, że społeczeństwo poszło na łup faszystowskiej ideologii, że w okresie największego niebezpieczeństwa przepadła sposobność organizacji i przerywała się nić łączności między ludźmi, że wielu działaczy było już tylko rozbitkami. O błędach Komunistycznej Partii Niemiec w latach trzydziestych Wilhelm Pieck mówił m. in.: „Partia powinna była w tym czasie uczynić wszystko, aby zmobilizować masy pracujące, zwłaszcza zaś robotników socjal - demokratycznych przeciwko temu niebezpieczeństwu, oraz aby stworzyć wspólny front bojowy komunistów i socjal - demokratów... Tymczasem Partia dała się odwieść od tego zadania na skutek antykomunistycznej kampanii przywódców socjal - demokracji, oraz zarządzeń represyjnych socjal - demokratycznych ministra i prezydentów policji...***).

Znakomita pisarka w swym głębokim poczuciu realizmu niczego nie zmienia ,odtwarzając tragiczne dzieje swego narodu i niczego swemu narodowi nie oszczędza.

Ale pokazując bez wahania błędy i winy swego narodu, nie szczędzi gorącej apoteozy dla sił Ruchu Oporu skupionych w szeregach Ko-Komunistycznej Partii Niemiec — takiej jaką była. Te szeregi bowiem podkopywały skałę hitlerowskiego „tysiącca lat“. Za słabo wprawdzie, aby nią zachwiać. wystarczająco jednak, aby — gdy nadejdzie nowa epoka — wybijać do niej przewód. Widzimy ich nie tylko w Westhofen, nie tylko wśród aktywistów biorących udział w ratowaniu Georga; szara bezimienna masa po fabrykach i warsztatach w napięciu czuwa. Kiedy zamęczono Wallaua *„była godzina szósta po południu. Nie było przy nim nikogo. A jednak już w poniedziałek rano ulotka obiegała warsztaty Opla w Mannheim, gdzie Wallau w dawnych czasach był przewodniczącym Komitetu Rady Zakładowej. „Nasz dawny przewodniczący, poseł Ernest Wallau, został zamordowany w w Westhofen, w sobotę o godzin e szóstej. Winni tego morderstwa odpowiedzą zań ciężko w dzień sądu“.*

Jak wiemy, nadszedł już dawno d z i e ń s ą d u. Zapadły również sprawiedliwe wyroki i wielką zasługą wspaniałej powieści Anny Seghers jest ukazanie społeczeństwu niemieckiemu tych prawd, które pozwolą mu zrozumieć dziejową wartość tego sądu, sens i cel tych wyroków.

Zofia Rzeplińska

***) ..Siódmy Krzyż“ — Anna Seghers, „Czytelnik“ — 1950.**

****) Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej.**

*****) „Z dziejów Komunistycznej Partii Niemiec“ — Wilhelm Pieck, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. 1950.**

SPRAWA NAKWASKIEGO

(dokończenie ze str. czwartej)

Jedni wzruszyli się bohaterstwem Nakwaskiego, który dowiedziawszy się prawdy o kochance, bez lęku — rzucił ją, wybrawszy Ojczyznę. To byli oczywiście najwięksi frajerzy. Inni posądzali Nakwaskiego, że jest to człowiek konspiracji, który specjalnie obstawiał gestapówkę. Inni wreszcie, — ci najcwańsi — patrzyli na Nakwaskiego nieufnie, podejrzewając go o najbrudniejsze zamysły. Ale Nakwaski szalał, konspirował, szeptał, paru więźniom ułatwił ucieczkę, na lewo i prawo zapewniał, że wolność jest blisko — wskazując przytem głową na Wschód. Nastroje więc topniały jak lód na wiosnę i Nakwaski począł, jak to się mówi, zdobywać teren.

Kiedy któregoś dnia tuż koło rąbiących kilofami zmarzłą ziemię ludzi zagwizdały pociski, a z lasu wynurzyły się radzieckie czołgi, nasz bohater wrzasnął nieludzko grubym basem „Wolność“!, objął jakiegoś zaskoczonego piechura spod Wiaźmy, ucałował go w oba policzki i krzycząc: „oto zbawcy!“ — wygramolił się na piramidę z piachu. Stamtąd wygłosił gromkie, patriotyczne i ludowe przemówienie, przeplatane ohydnie akcentowanymi rosyjskimi słowami, po czym dziarsko ruszył w stronę zbaraniałych Niemców bez oporu oddających broń radzieckim żołnierzom. Za nim posuwał się obdarty, głodny ale już roześmiany tłum. Nakwaski srogo popatrzył na roztrzęsione strachem kałduny SA-mannów i zawyrokował głośno:

„Dranie! Wszystkich trzeba rozstrzelać, towariszczi!“ A kiedy mu jakiś młody lejtnant zwrócił uwagę, że to już sprawa wojska, a nie cywilów, Nakwaski obruszył się:

„Młodzi jesteście, gdybyście to przeżyli co ja, koszmar, niewola, gestapo, obóz...“ roztkliwił się sam nad sobą, upił łyk z podanej uprzejmie wojskowej manierki i ruszył, wraz z grupką ludzi w wolność.

d. c. n.

Kazimierz Dębnicki

HEINAR KIPPHARDT

JESZCZE NIE NASTAŁ KRES WALKI

W powodzi liści złocistych
więdną dni lata ostatnie,
ludzie pracują przy zbiorach,
skronie ich zrosił pot gęsty,
wystarczy dla wszystkich zboża,
wystarczy dla wszystkich pracy —
wystarczy chleba dla wszystkich.

ludzie, walczący o przyszłość
z wiarą, że kłamstwo i podłość
zginęły na wieczne czasy,
Tak myślą ludzie, co wierzą,
że dosyć już nienawiści,
że szczęście — to znaczy: pokój.

Ci ludzie kochają dzieci,
ci ludzie zbierają plony,
ci ludzie budują domy.

*

W imieniu dzieci, co z głodu
konają, jak światła zdmuchnięte,
w imieniu matek płaczących,
w imieniu ofiar płonących
w więzieniu, na polach bitew,
w piecach krematoryjnych,
w imieniu wszystkich umarłych,
lepszego niż świat wczorajszy;
w imieniu jasnego słońca,
i twórczej odkrywczej myśli,
w imieniu czół podniesionych
radosną dumą wolności,
w imieniu dni nadchodzących,
w imieniu dni jasnych, prostych,
w imieniu prawdy pokoju —
prawdy wspaniałej i mocnej
głos podnosimy my — młodzi:

Jeszcze nie nastał kres walki!
Walczymy o wolność i szczęście,
walczymy o wolność i pokój!

Niech wiedzą tchórzliwi starcy,
niech wiedzą władcy wczorajsi,
niech wiedzą szaleńcy i tchórze:
jeszcze nie nastał kres walki,
naszą jest młodość świata,
świat wolny jest naszym domem,
a przyszłość — do nas należy.

wolny przekład MONIKI WARNEŃSKIEJ

Nowe dzieje młodego pokolenia chłopów

(dokończenie ze str. 1)

Pierwszy siew klasowego wychowania przerwało przed żniwami aresztowanie opiekuna. Była to robota kierownika majątku. Likwidował kontrolę partii, ale się przeliczył. Sieć kontaktów i intryg już pękała. Po żniwach opiekun wrócił z nominacją na kierownika majątku. Wróg klasowy poszedł pod sąd. Ta zmiana sytuacji uratowała naszego chłopca. Zdążył już bowiem dwukrotnie narazić się „władcy" majątku. Raz, kiedy nieczynną żniwiarkę meldował do możliwej, szybkiej naprawy. Drugi, kiedy zapaliła się sterta owsa, wpadł do kancelarii i dzwonił po straż. Kierownik ryczał potem: jak śmiałeś dzwonić, kto ci pozwolił? Ty tu będziesz rządził i uczył mnie, co robić? Zabieraj się tam, skąd żeś przyszedł! Były to jednak jeszcze żniwa, kiedy więc traktorzyści, „koledzy", zagrozili kierownikowi, że odejdą wraz z chłopcem, wymówienie zostało zawieszone.

W porę wrócił opiekun. Chłopak podczas żniw zaprawił się w koszeniu, jeździł na grabiarce. Teraz nadeszła pora wykopków kartofli i buraków.

W tych jesiennych pracach osiągnął 217 proc. normy i opisany został w gazecie wraz z kołem ZWM-u, do założenia którego przyczynił się tuż przed żniwami. W lipcu przyjechali licealiści z powiatu i wystawili sztukę. Po przedstawieniu pijany Buldog rozbił łeb jednemu z „artystów". Źródłem zwady była w gruncie rzeczy podrażniona ambicja brygadzistów „Uczeni gówniarze" budzili niejasne zagrożenie dla ich znaczenia „pionierów". Konflikt rozładował nasz chłopaczek. Licealiści byli ZWM-owcami i chcieli założyć koło. Kierownik nie pozwolił wykorzystać świetlicy. Nasz trzecioklasista najszybciej pojął nową sprawę i stało się tak, że koło założono w pokoju brygadzistów, z którymi mieszkał. Pijany jeszcze trochę Buldog lał łzy i wołał „cóż ja winien, że dopiero teraz rozumiem". A kiedy podczas żniw wstawiał się do kierownika za „kolegą", był już pod urokiem gimnazjalisty, kapującego najbystrzej „walkę młodych".

Przez zimę trwała młócka. Koło ZWM-u wyszło na wsie okoliczne. Przykład dał opiekun, obecny kierownik. Prowadzili agitację przedwyborczą.

Nasz bohater założył dwa koła na wsiach. Wieczorami czytał zawzięcie zeszyty szkoleniowe, przywożone z Komitetu przez opiekuna.

W marcu opiekun dostał skierowanie na objęcie innego zespołu majątków — w rzeszowskim. Pojedziesz ze mną? Chłopak pojechał.

*

Na nowym majątku nasz bohater miał już inny start. W szczecińskim był jeszcze „frygą" i chłopcem do wszystkiego, choć tam uznawano szybkie, realne awanse. Tu na czterech sprzężonych majątkach (po 200 ha) w obliczu braku ludzi fachowych, odpowiedniego parku maszynowego i budynków został od razu traktorzystą. Sztuki jeżdżenia nauczył go dawniej Buldog. Mieszkał teraz we wsi. W starym, zrujnowanym dworze osadził się opiekun, zapewniając, że wytrzyma do czasu restauracji dworu. Teren był zniszczony. Tu w barakach osadzali hitlerowcy Żydów partiami na śmierć. Okolica była dlatego w dużym promieniu zrównana z ziemią.

W tym roku wyścig pracy stawał się już ogólno-państwową sprawą. Nasz traktorzysta bez patentu ze szczególnym zainteresowaniem śledził w gazetach komunikaty o osiągnięciach w górnictwie i przemyśle. Dziwiła go cisza w rolnictwie. Humor poprawił mu nowy traktor, polski „Ursus" na który się zaraz przesiadł. Po raz pierwszy kupił sobie nowe ubranie i paradował po wsi, zapraszany gęsto przez gospodarzy. Tę lekcję zakończył sam opiekun. Nasz bohater bowiem zgubił się w stosunkach klasowych. W szczecińskim wyglądało to prościej. Tu przymilali się bogacze, przez chłopca chcąc trafić do kierownika. Towarzysz przypomniał mu zawieszoną pracę zetwuemowską. Chłopak dwie noce pracował traktorem i zaoszczędzony czas obrócił na wyjazd do powiatowego zarządu ZWM-u, wracał z instruktorem, koło zostało założone.

Przez lato naprawiono stary pałac, wybudowano chlewnię, oborę i garaż na cztery traktory. Rozrosło się koło na majątku i we wsi. Z traktorzysty robił się teraz nasz bohater ogrodnikiem. W zespole był duży, stary magnacki sad. Znalazł się gdzieś w powiecie ogrodnik, który wróżąc ogrodowi wielką przyszłość, wygotował plany i jesienią rozpoczęła się bitwa o sad. Prowadził ją z kołem ZWM-u nasz bohater. Jesienią zabrał się do nauki. Obiecał solennie opiekunowi, że w czerwcu złoży małą maturę. Towarzysz wszczął starania w Rzeszowie o dopuszczenie go do egzaminu. Wiosną był już brygadierem i kierował pracą wszystkich traktorów. Miejscowe i niemiejscowe pisma zamieszczały teraz artykuły o ich zespole i wynikach. W czerwcu zdał małą maturę, w lipcu był na Kongresie Zjednoczeniowym Młodzieży. Liceum wybrał... po pierwsze korespondencyjne, po drugie rolnicze, zorganizowane przez Ministerstwo Rolnictwa. Nie miał „jeszcze odwagi" zerwać ze swoją pracą i zostać tylko „uczonym gówniarzem", jak w szczecińskim nazywał studentów Buldog. Dziwne, ale utwierdziła go w tym postanowieniu pierwsza miłość i pierwszy w niej zawód. Chłopak miał osiemnaście lat. Zbudziła się w nim tęsknota do rodzinnych stron. Ale do kogo? Do stryja i stryjecznych? Miała się zbudzić ponownie w następnym roku dojrzalej, z większą świadomością społeczną. Teraz to niejasne przyoblekło się w kształty koleżanki szkolnej. Mieszkała na pół drogi między jego rodzinną wsią, a miasteczkiem, gdzie zaczął gimnazjalną naukę. Ojciec jej był robotnikiem w tartaku. Mieszkali na wzgórzu, na jednym z takich wzgórz, jakie tylko ma lubelszczyzna „pagórki wonne, pagórki dzwonne", jak opiewał poeta.

Spotkanie przyniosło rozczarowanie. Dziewczyna rozkwitła, była już w liceum. Ale cóż z tego, kiedy dla jego dziejów nie okazała zainteresowania. Słyszała nawet, że w gazetach o nim pisano, jako o „pracowitym robotniku rolnym". Nie tak pisano o nim, tak mówiła dziewczyna. Kiedy opowiadał jej o Buldogu przytaknęła ku jego zdumieniu: „okropny". Nic ją nie brały traktory, małą różnicę stanowiło dla niej, czy się siedzi na jednym czy na czterech traktorach. A Buldog, gdy w liście gratulował mu stopnia brygadiera, tak wywodził: „Bracie, jakżeś po Buldogu, Johnie i Zetorze doczekał się Ursusa to masz teraz prawo poganiać wszystkimi czterema". Chłopak zataił, że ma małą maturę. Dostrzegł, że bez blasku gimnazjum, jego szkoła życia zlekka przestrasza dziewczynę i obniża go w jej oczach. Zostało tak. Gdy wrócił w rzeszowskie, czekało go wezwanie na miesięczny kurs ideologiczny ZMP. Kurs miał mu wyjaśnić wątpliwości, jakie już dawniej przeżywał, zastanawiając się nad osobliwą tymczasowością wszystkich prac w PNZ-tach, nad brakiem długofalowych planów. Teraz nowo-nadana nazwa — PGR-y, pobudzała do nowego pytania, a z resztą ziemi, co?

Kurs dał mu odpowiedź. Wczytał się tam w Lenina i Stalina. Przestudiowali i obgadali uchwały sierpniowego plenum Partii.

Po powrocie nie zastał opiekuna. Starego też wzięto na kurs do Warszawy. Nie było go trzy miesiące. Nasz bohater został przybocznym zastępcą kierownika. Pracy przybywało, ale i tak nie brakowało czasu na robotę w kołach na wsi. Nocami czytał książki i przerabiał skrypty liceum rolnego. W lutym wrócił stary, mrugając od progu, co zapowiadało nową sensację. Rzeczywiście, tu właśnie pod jego kierownictwem miała powstać Młodzieżowa Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna. Zaczął się wielki ruch. Zjeżdżała młodzież, w większości byli to parobcy wyrwani kułakom. Gorzko wspominali swój los, ale równie nieufnie patrzyli często na nowe. Zaczęła się budowa nowego osiedla, domków murowanych, obejścia gospodarczego i praca w polu. Nasz bohater stał się teraz dla kierownika nieodzownym towarzyszem i pomocnikiem. Zadaniem jego było dowieść przodownictwa i pociągnąć ku niemu zahukanych parobków i służące wiejskie, swoich rówieśników. Wzbudzić w nich wiarę we własne siły, wzbudzić pragnienie innego życia.

W pracy, w budowie, na fundamencie praktyki uczyć, ośmielać, rozbudzać i agitować. To, co działo się tutaj, odbijało się mocnym echem na starej wsi. Trzeba było ponieść Statuty Spółdzielni Produkcyjnej do kół na wsiach i tam rozbudzoną ciekawość młodzieży przekuwać w wolę czynu, w długofalowy plan działania. Organizacyjnie nasz bohater przeszedł teraz do nowo powstałego POM-u. Teren pracy powiększył się kilkakrotnie.

I wtedy to jesienią wróciła tęsknota za lubelszczyzną. Opiekunowi przedłożył prośbę. Chce wrócić do wsi rodzinnej.

Chce się przyczynić tam do powstania spółdzielni produkcyjnej

Po raz pierwszy gotował się do opuszczenia opiekuna. — Widać już czas na samodzielny lot — powiedział stary. — Bądź pomocnikiem partii!

*

W gminnej wsi rodzinnej nasz bohater został ustawiony w SOM-ie i w zarządzie ZMP. Z tych pozycji jesienią zmobilizował pomoc sąsiedzką dla orki i siewu, bo „lubelszczyzna, żyzna i słoneczna to ziemia jeszcze niedawno wielkich dworów i dwumorgowych chłopów". Akcja ta oczyściła przy okazji GS. z kumoterskich stosunków a GRN wyrwała z biurokratycznej drętwoty. Zimą ożywił koło, ruszyła świetlica, czytelnictwo, dyskusje, kurs ideologiczny, najwcześniej gazetka ścienna w trzech egzemplarzach, jeden z nich nalepiany był na murze kościelnym. Ksiądz pamiętający okoliczności śmierci ojca naszego bohatera, nie śmiał protestować.

Zimą przeprowadził kurs narciarski, zapoczątkowując Koło Sportowe.

Wiosną przy siewach koło podjęło pierwszy werbunek do spółdzielni produkcyjnej. Na żniwa przyjechała szkolna brygada żniwna. W sierpniu 60 chłopów wstąpiło do spółdzielni produkcyjnej. Kandydatów na przewodniczącego wysunięto trzech, najmłodszym był nasz bohater. Został obrany przewodniczącym. Ale nie przyjął godności.

— Wróciłem do wsi, aby Wam pomóc dojść do nowego. Poszło Was wielu, pójdzie jeszcze więcej. Całej to przecież wsi sprawa a nie tylko moja. Jeżeli udało mi się Was przekonać w ciągu niespełna roku to czyjaż to zasługa, moja, czy Wasza? Myślę, że Wasza. Jakże nie wiele trzeba było, abyście ruszyli naprzód. Pozwólcie mi się teraz uczyć. Praktykę rolniczą mam, pragnę teraz nauki, bo chciałbym umieć pomagać w marszu do nowego życia nie tylko jednej wsi i nie tylko pojedynczo od jednej do drugiej wsi. Może mi się to uda. Zamiar mam szczery, czy nie uważacie go za słuszny?

Od roku studiuje na akademii rolniczej w Olsztynie. Na akademii, gdzie, jak Gałaj mówi, nasze centralne zagadnienie to rejonizacja produkcji rolniczej i hodowlanej w Polsce.

Piotr Chmura

ALDO CASSATO

LIST Z WŁOCH

Adenauer miły gość Watykanu

Czytaliśmy w pismach codziennych, że „kanclerz" z Bonn, Adenauer, udał się dnia 14 czerwca do Rzymu, gdzie odbył szereg rozmow z członkami gabinetu de Gasperiego i oczywiście zameldował się na watykańskich pokojach.

Francuskie pismo **Combat**, pozwalając sobie na liczne niedyskrecje oświadczyło wprost, że istotnym inspiartorem podróży Adenauera do Rzymu był Watykan.

Rzymski dziennik **Il Quoltidiano** dodał do tego oświadczenia informację, że celem tej podróży nie było stworzenie osi Rzym — Bonn, wedle dawnego hitlerowsko-mussolinowskiego wzoru — a zbudowanie **trójkąta Rzym — Paryż — Boon.**

Informacja ta wygląda na dokładną — w tym kierunku bowiem rozwijają się stosunki na środkowym odcinku kontynentu europejskiego. Trzy rządy dzisiejsze — włoski, francuski i zachodnio-niemiecki mają bardzo zbliżony program i bardzo zgodne zamiary: remilitaryzację Niemiec zachodnich i odrodzenie przemysłu wojennego w ramach planu Schumana. Ci trzej partnerzy stanowią w ramach paktu atlantyckiego — grupę najposłuszniejszą wobec amerykańskiego protektora. Nie ma wśród tych przedstawicieli trzech rządów żadnych odruchów narodowej dumy, żadnych zamiarów ratowania suwerenności, czy niezależności politycznej. Gabinety Queiulle'a, de Gasperiego i Adenauera to trzy podobne do siebie grupy kapitalistów, trzymających się amerykańskiej klamki. A w imię „dobra kościoła" opiekuje się tymi trzema rządami inspiruje je i kontroluje Watykan, związany z Waszyngtonem wszystkimi fibrami swej absolutystycznej, hierarchicznej struktury.

Rzecz inna, że ludy, pchane przez te trzy rządy, włoski, francuski i zachodnio-niemiecki, w otchłań wojennego ryzykanctwa nie zdradzają najmniejszej ochoty do krwawych awantur. Co trzeci Włoch, co trzeci Francuz jest komunistą — 85% Niemców zachodnich woła „ohne uns" — bez nas!

Mało interesującym byłoby dowiedzieć się, co Adenauer chciał sprzedać w Rzymie. Zapewne nie wiele, bo sprzedał się już dawno swoim amerykańskim protektorom. Ciekawszym za to jest to, w jakim kierunku szły ojcowskie rady papieża, i jaką atmosferę ów stary koleżka von Papena, kardynała Fringsa i prałata Kaasa zastał na watykańskich pokojach.

Wydaje się nam rzeczą bardzo naiwną, gdy pismo francuskie **Paris Soir** podaje jako rewelację, że hrabia Sforza, będący u de Gasperiego ministrem spraw zagranicznych jest zwolennikiem uzbrojenia Niemiec Zachodnich. A jakże by śmiał nie być, gdy zdecydowano wyżej, że musi gardłować na rzecz remilitaryzacji? Przypomnijmy sobie, co powiedział papież Pius XII jeszcze dnia 7 grudnia 1948 roku przez radio po niemiecku, do kongresu uchodźców politycznych ze wschodu, zwołanego do Moguncji:

„Możliwe jest, że na pewnych odcinkach (t.zn. na Odrze i Nysie) trzeba będzie jeszcze walczyć do ostatniej kropli krwi".

Tak myśli Pius XII. I na pewno zdaje sobie sprawę, że bez remilitaryzacji Niemiec zachodnich, żadna walka „do ostatniej kropli krwi" nie byłaby możliwa. W tym świetle fakt, że pionek Sforza wypowiada się za remilitaryzacją ma bardzo małe znaczenie. Po prostu powtarza to, czego go nauczono z polecenia jego świętobliwości.

Pamiętamy, że po zjeździe w Moguncji „katolicka rada uchodźców" z kardynałem kolońskim Frigsem i biskupem uchodźców Dirichsem na czele słała do Rzymu dziękczynne hołdy — a jakiś niefortunny mówca na wiecu w Westwalii wykrzykiwał z rozczuleniem „mamy nareszcie niemieckiego papieża" — nie wiedząc, że ludność Rzymu z głuchą niechęcią powtarza właśnie te same słowa — **papa tedesco** (niemiecki papież) — które to określenie już do osoby Piusa XII przyrosło.

* * *

Nie ograniczymy się tu do przypomnienia, że prawda pojawia się zawsze na ustach ludu. Postaramy się przytoczyć garść szczegółów świadczących o głębokim uzasadnieniu tego twierdzenia.

Wiemy, że w r. 1917 młody prałat Eugeniusz Pacelli zjawił się w Monachium w tajnej misji, proponując Wilhelmowi II ratowanie cesarstwa niemieckiego i Austro-Węgier drogą kompromisu z Włochami, pokoju odrębnego. Dalszym ciągiem tych pertraktacji zajął się brat cesarzowej Zyty, Sykatus Burbon-Parma. W zamian za ratowanie obu dynastii, Hohenzollernów i Habsburgów Watykan żądał wówczas stworzenia państewka watykańskiego i pół miliarda lirów złotem. Wszystko, jak wiadomo, spaliło na panewce.

Tenże Eugeniusz Pacelli, już jako biskup i nuncjusz w Monachium doprowadził później do konkordatu między Watykanem a Bawarią. Następnie popierać zaczął niejakiego Adolfa Hitlera — i był tym, który, — jak pisał przemysłowiec Thyssen — doprowadził Hitlera do władzy. Francuski historyk Harcourt podkreśla, że Watykan był „pierwszą instancją, która przez umowę z Hitlerem zalegalizowała jego podpis. Konkordat, zawarty przez nuncjusza Pecellego z Hitlerem był dla tego ostatniego wielkim sukcesem. NSDAP — partia nazich została uznana przez jeden z najważniejszych autorytetów świata" — a w ślad za tym dopiero nastąpiło uznanie reżimu hitlerowskiego przez inne państwa.

Wiadomo, że Hitler zachował głęboką wdzięczność dla nuncjusza Paceilego — to też na conclave 1939 roku kazał on von Bergenowi swemu ambasadorowi przy Watykanie doradzać kardynałom, by wybrali na papieża kardynała, przychylnego Niemcom. Było to wskazanie palcem na kardynała Pacellego. A więc najpierw Hitler był elektem Pacellego, a później Pacelli elektem Hitlera. Ta wymiana usług zaciążyła w sposób dość gorzki w dziejach XX wieku.

Przypomnijmy jeszcze kilka faktów, specjalnie wymownych dla Polaków. W dniu bombardowania Warszawy 26 września 1939 roku, tuż przed kapitulacją, nowy papież Pius XII Pacelli przyjął grupę niemieckich pielgrzymów, do których powiedział po niemiecku. „Witam was serdecznie drodzy synowie. Wiecie, jak głęboki przyjmujemy udział w zagadnieniach i przejawach życia kościelnego i duszpasterstwa wśród narodu niemieckiego".

Wypowiedź tego rodzaju bez słowa o wojnie i o Polsce w chwili gdy oczy całego świata zwrócone były ku Warszawie — była chyba dość wymowna.

Tenże Pius XII kazał swemu nuncjuszowi w Berlinie kardynałowi Orsenigo oświadczyć Hitlerowi dnia 18 stycznia 1942 roku „Stolica święta jest nadal szczerze skłonna uczynić wszystko, co jest w jej mocy w zakresie praw i obowiązków, by polepszyć stosunki między kościołem a państwem niemieckim."

I w imię tego „polepszenia stosunków... w zakresie praw i obowiązków" — uważała milczenie w sprawach krematoriów, dymiących w Polsce, za rzecz naturalną i dopuszczalną dla poprawnych stosunków dyplomatycznych. Nic więc dziwnego, że Goebbels pisał w swych pamiętnikach pod datą 17 marca 1943 roku: „Watykan stwierdził, że nie ma nic wspólnego z celami wojennymi naszych przeciwników. Dowodziłoby to, że papież jest nam o wiele bliższy ,niż się powszechnie przypuszcza.

W przyszłości może się on okazać dla nas bardzo pożyteczny".

Goebbels trafnie przewidział, Pius XII okazał się „ogromnie pożyteczny" ogłaszając swój osławiony list pasterski z dnia 1 marca 1948 r. do biskupów niemieckich. Był kiedyś pierwszym, uznając Hitlera. Był znów pierwszym, w atakach na granicę na Odrze i Nysie.

Wiedząc, o tym wszystkim trudno się dziwić, że tenże Pius XII w liście do „ukochanych synów i córek Berlina" pisał: „szczera miłość bliźniego przejawiała się pośród was wspaniale w czasie bezdomności i głodu". Bo tylko bezdomność niemiecka, bo tylko głód w Niemczech — to rzeczy ważne dla dzisiejszego władcy państewka watykańskiego. I oczywiście chodzi nie o Niemcy Demokratyczne, bo tam głodu nie ma. Obozy śmierci i eksperymenty hitlerowskiej zbrodniczej medycyny — to rzeczy, o których Pius XII nie mówił nigdy. Ważne dla niego jest jedynie to, że Hitler przegrał wojnę i że z tego powodu cierpieli Niemcy.

Gdy 19 września 1950 roku odbywał się „dzień katolicki" w Passawie w obecności Adenauera i innych katolików Trizonii, otrzymano specjalne orędzie papieskie. Była w nim mowa o „katolickich Niemcach, znanych ze znakomitego wychowania katolickiego... Katolicy niemieccy strzegli zawsze trzech świętych zasad i świętości sakramentów, czci Matki Boskiej i głębokiego Związku z Namiestnikiem Chrystusowym na ziemi, co w roku świętym znalazło tak oczywisty wyraz."

I jak tu nie zestawić tego świętego wychowania katolickiego z tysiącami faktów, świadczących że to wychowanie w Niemczech zawiodło. Bo przecież katolikiem z wychowania był Hitler. Katolikiem i to praktykującym był Buchler, kat z Belsen. Działaczem Akcji Katolickiej był Glubocnik. Katolikiem był dr Oswald Pohl, szef inwentury SS, główny winowajca tortur milionów ludzi, organizator obozów w Oświęcimiu, Majdanku, w Dachau, w Buchenwaldzie, twórca wszystkich fabryk masowej śmierci.

I temu właśnie Pohlowi Pius XII przed wykonaniem wyroku — przesłał specjalne błogosławieństwo. Przesłał je zwierzęciu w ludzkiej skórze, współodpowiedzialnemu i to w wielkiej mierze za śmierć 1811 księży, 521 zakonników i zakonnic i 4 biskupów polskich.

Zdawało by się, że każdego katolika, każdego księdza zwłaszcza, Watykan winien był bronić przed zbirami hitlerowskimi. A co zrobiła kancelaria papieska?

Wysłała jeden ogólnikowy, mętny list do Ribbentroppa (który wydrukował zresztą **Tygodnik Powszechny**). Na list ten nie otrzymano w Watykanie odpowiedzi. A, na ten brak odpowiedzi nie było żadnej reakcji.

W latach ostatnich Pius XII próbował starej broni kościelnej ekskomuniki. Dlaczego nie użył tej broni, gdy miliony ludzi ginęły w obozach śmierci — i gdy obowiązkiem człowieka, podkreślającego że nosi tradycyjny tytuł „namiestnika Chrystusa" było ekskomunikowanie pobożnych katów niemieckich, przyznających się do katolicyzmu.

Moglibyśmy długo jeszcze cytować te gorzkie rzeczy. Litania ich niestety jest bardzo długa. Ale wróćmy do współczesności.

Nuncjuszem papieskim w Niemczech zachodnich jest arcybiskup Muench, Amerykanin, niemieckiego pochodzenia.

Tenże Mueuch, w licznych swoich przemówieniach w Trizoni, nawoływał i nawołuje do remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Czyż nie przypomina to wojowniczego przemówienia Piusa XII podczas zjazdu Mognuckiego 1948 r. „o potrzebie walki do ostatniej kropli krwi"?

Tak to wyglądają te sprawy, zazębiające się o problem pokoju światowego, a na waszym polskim odcinku o sprawy djecezji katolickich na Ziemiach Odzyskanych?

Miłości chrześcijańskiej w tych wypowiedziach watykańskich jest bardzo niewiele. A zato bardzo dużo prohitlerowskiej i w ogóle profaszystowskiej polityki. Pamiętamy sprawy Splettów, Greiserów, Franków, Weizsaeckerów.

Kontynuatorów tych zażartych ajentów hitleryzmu po dziś dzień Watykan gładzi po główkach. Na terenie państewka watykańskiego udzielało się i udziela najbardziej skompromitowanym hitlerowcom dyskretnej gościny. Organizuje się ich rekrutację do Legii Cudzoziemskiej francuskiej w Marokko, do Vietnamu, do Indonezji, do Azji Mniejszej. Jeśli nie słowami to czynem opowiada się po stronie podżegaczy wojennych.

Spyta dziś może — a katolicyzm? A nauka Chrystusa?

Jasną jest rzeczą, że wszystko, o czym mówiliśmy — to sprawy bardzo ziemskie — i bardzo wstrętne.

Tym bardziej razi cytowanie ewangelii i zasad religijnych przez polityków w sutannach.

Aldo Cassato

Józef Parnas

Nauki rolnicze

Znaczenie Kongresu Nauki Polskiej i wyłonionej na nim Polskiej Akademii Nauk — zostało należycie podkreślone przez robotników, uczestniczących w Kongresie, przodowników pracy górnictwa i fabryk — przez setki depesz klubów racjonalizatorskich hut i fabryk całego kraju.

Oczywiście, brak na trybunie Kongresu delegatów naszych PGR i Spółdzielni Produkcyjnych — nie pomniejsza w niczym tego znaczenia Kongresu Nauki Polskiej Akademii Nauk — dla socjalistycznego rolnictwa i hodowli, naszego kraju. Świadczy to jednak o tym, że nasza nauka rolnicza, zootechniczna i weterynaryjna — jeszcze nie należycie związane są w jedną organizacyjną całość z praktyką, z tysiącami gospodarstw rolnych, kierowanych przez Min. PGR, z tysiącami pionierskich spółdzielni produkcyjnych, wymagających czułej opieki nauki. Pod tym względem jeszcześmy nie weszli mocną nogą na szlak radzieckiej łączności miasta ze wsią, zakładów naukowych z kołchozami i sowchozami. A niemałe osiągnięcia, jakie niewątpliwie mają nasi przodujący uczeni w tej dziedzinie — nie znalazły na Kongresie uwypuklenia, na równi z przemysłem i naukami technicznymi.

Mimo to, Kongres Nauki wykonał olbrzymią robotę dla postępu naszego rolnictwa. Jest to zasługa Sekcji Nauk Biologicznych i Rolniczych. Na czele Sekcji stali wybitni uczeni: Rektor Kulczyński i Prof. Listowski. Sekcja dzieliła się na Podsekcje.

W ciągu kilkunastu miesięcy pracy w grupach roboczych dokonano krytycznej analizy przeszłości agrobiologii, agrotechniki, zootechniki i weterynarii, przezwyciężając objawy kosmopolityzmu we wszystkich jego przejawach, uwypuklono dorobek naszych polskich postępowych uczonych, jak Dybowski, Nussbaum, Oczapowski, Malsburg, Poplewski i inni, uwypuklono równocześnie ogromny wkład w postępową naukę światową rosyjskich i radzieckich uczonych tej miary co Timiriazew, Dokuczajew, Miczurin, Wiliams, Łysenko, Lepieszyński i inni. Podsekcje dokonały też analizy teraźniejszości naszych nauk rolniczych, śmiało odcinając się od nie naukowych poglądów idealistycznych, metafizycznych, wyraźnie reakcyjnych, kroczących od lat śladem morganizmu. Na podstawie konkretnego materiału faktycznego Podsekcje zobrazowały bezpłodność badań naukowych, opartych na mendeliźmie, szkody, jakie wynikły w naszym rolnictwie i hodowli na skutek oderwania się wielu uczonych od praktyki, od głównego nurtu materializmu dialektycznego w nauce, od przodującej w świecie nauki radzieckiej. Niezrozumienie podstaw nowej, miczurinowskiej agrobiologii nauki Wiliamsa, o glebie, niepozwoliło zabezpieczyć naszej hodowli w bazę paszową. „Rasizm" hodowlany naszych morganistów — jak stwierdza Marchlewski — doprowadził do zwyrodnienia naszej ziemiańskiej hodowli, zmniejszenia sił odpornościowych i produktywności zwierząt hodowlanych. Brak oparcia na materiale hodowlanym chłopskim, niezrozumienie roli środowiska, żywienia, pielęgnacji to wszystko doprowadziło do upadku naszej hodowli. W dziedzinie produkcji roślinnej, obserwujemy te same skutki oparcia selekcji na genetyce formalnej. Nauka weterynaryjna nie doceniająca roli środowiska rezerwuaru zakaźnego — walczy bezpłodnie, bezowocnie niemal od dziesiątków lat z gruźlicą bydła, ronieniem, jałowością samic, różycą świń i wielu innymi chorobami zwierząt gospodarskich.

Podsekcje rozprawiły się śmiało z tymi wstecznymi w nauce i praktyce tendencjami. Krytyka i samokrytyka ułatwiły naszym uczonym odciąć się od uprzedzeń i nawarstwień przeszłości. Kongres dokonał przełomu w ideologii naszych badaczy w zakresie rolnictwa, wywołał twórczy ferment światopoglądowy i metodologiczny, który kieruje prace badawcze w stronę życia współczesnej Polski Ludowej w stronę nowego socjalistycznego rolnictwa, zootechniki, weterynarii, leśnictwa i ogrodnictwa.

A wszystkie te nauki znalazły w Kongresie Nauki, w jego akcji przygotowawczej, silną i niezawodną bazę realną w naukach biologicznych, zoologii i parazytologii botanice, fizjologii, biochemii.

Jest to b. ważne historyczne osiągnięcie samego Kongresu Nauki.

Plan naszych badań w sześciolatce koncentrować będzie wszystkie środki osobowe i materialne jako problemach czołowych: wzrost żyzności gleby, wzrost plonów, wzrost bazy paszowej dla zwierząt hodowlanych, aklimatyzacja nowych gatunków roślin i zwierząt, powiększenie ilości i jakości koni, bydła, świń, owiec, drobiu, zarówno w sektorze indywidualnym jak też w gospodarstwach socjalistycznych, zwiększenie zdrowotności zwierząt i roślin, ochrona przed chorobami szkodnikami i pasożytami roślin i zwierząt.

Polskie rolnictwo i hodowla ma prawo spodziewać się nowych osiągnięć dla planu 6-letniego we współpracy nauki z praktyką, wynikającej z wytycznych I Kongresu Nauki Polskiej. Spółdzielnie produkcyjne i P. G. R. znajdą w PAN najlepszego opiekuna i nauczyciela, czerpiącego pełną garścią z bogatych doświadczeń Akademii Nauk ZSRR, Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina, której prezydent Łysienko — jest dla nas niedoścignionyym wzorem pracy naukowej dla narodu, dla socjalizmu i pokoju.

Józef Parnas

Prasa regionalna

W ciągu ostatnich paru tygodni nasza prasa regionalna stała pod znakiem wielkich budów socjalizmu, subskrypcji Pożyczki Narodowej, Kongresu Nauki Polskiej i przygotowań do żniw.

Apel huty „Kościuszko" i potężna fala zobowiązań lipcowych — postawiły w pierwszych dniach lipca nowe zadanie przed prasą regionalną — mobilizowanie wysiłku produkcyjnego mas dla uczczenia Święta Wyzwolenia.

Nasze gazety w terenie robią to lepiej lub gorzej w zależności od tego jak silnie wiążą się z klasą pracującą i w jakim stopniu stały się organem umożliwiającym Partii rozmowę z masami...

Na uwagę zasługuje pod tym względem „GŁOS WYBRZEŻA", organ Gdańskiego KW PZPR. Pamiętamy jak w ankiecie „Gazety Krakowskiej" na temat czytelnictwa i prasy — robotnicy, pisząc o sposobach powiązania gazety z terenem, żądali więcej reportaży, rozmów, dialogów, gdzie występowałyby nie tylko cyfry i suche opisy, ale żywy człowiek ze swoimi zagadnieniami, ze swoją historią, ze swoją drogą życiową.

Otóż mocną stroną „Głosu Wybrzeża" jest właśnie to patrzenie na wielkie zagadnienia walki o Plan 6-letni i socjalizm od strony podmiotu tej walki — robotnika i chłopa.

W reportażach „Głosu Wybrzeża" często występują żywi ludzie, często cytuje się ich wypowiedzi, często zamieszcza się rozmowy z nimi i o nich.

Uważny obserwator zanotuje, że „Głos Wybrzeża" nabył w znacznym stopniu trudną umiejętność pokazywania całości za pomocą jej charakterystycznego fragmentu, pokazywania pracy zakładów na podstawie osiągnięć poszczególnych zespołów, przodowników, racjonalizatorów, przedstawienia jakiegoś typowego zjawiska i problemu przez pokazanie jak załamuje się on w psychice typowego ale konkretnego, żywego człowieka.

Gdy np. pisze o walce o zwiększenie produkcji w Zakładach Przemysłowych PZZ w Starogardzie nie sili się na wyliczenie wszystkich procentów, cyfr i cyferek, na protokolarne i kronikarskie pokazanie wszystkich zakątków tej fabryki i wszystkich wydarzeń, ponieważ taka metoda — o wszystkim po trochu — oznacza w gruncie rzeczy o wszystkim po łebkach, oznacza, że artykuł staje się suchy, zdakwowy i martwy, że braknie w nim miejsca na człowieka, że w najlepszym razie upodobni się do bilansu handlowego i nudnego formalnego sprawozdania.

„Głos Wybrzeża" pisze w tym wypadku o jednej sprawie, artykułowi daje tytuł: „Historia nowej łuszczarki", wprowadza na szpaltę jednego głównego bohatera na tle kolektywu — racjonalizatora Grajewskiego i za pomocą jego zmagań o zwiększenie produkcji przekonywująco, konkretnie i obrazowo pokazanych — doskonale wprowadza czytelnika w atmosferę walki o plan, przybliża do tych dzielnych ludzi, porywa ich przykładem.

Trwa akcja subskrypcyjna. Wiele gazet poszło po najmniejszej linii oporu — zamieszczając tylko nazwiska obywateli przodujących w subskrypcji Pożyczki i parę sloganowych wypowiedzi subskrybentów. „Głos Wybrzeża" podszedł do sprawy głębiej. Na jego łamach zaczęły się ukazywać reportaże, rozmowy z chłopami i robotnikami, gdzie w sposób szczegółowy i wyczerpujący, nie uchylając się od żadnej nasuwającej się w związku z subskrypcją kwestii ludzie rozmawiali z sobą na temat Pożyczki.

Oto w reportażu p.t.: „Ja, prosty chłop z osady Malborg, chcę się też przyczynić do tego, by Polska była silna" — Teofil Kuper i jego sąsiedzi rozprawiają „po swojemu" o pożyczce.

Obok rozmowa z bezpartyjnym monterem ze stoczni Walentym Szczęsnym. Niżej na tej samej kolumnie widzimy artykuł: „Odpowiadamy na pytania w sprawie Narodowej Pożyczki Rozwoju Sił Polski."

Podobnie gdy chodzi o czyn lipcowy, o przygotowania do żniw. Pokazanie przykładowo ale problemowo żywo, głęboko, jak te sprawy wyglądają w danej wsi, spółdzielni produkcyjnej, POM-ie, SOM-mie czy PGR-e wydaje się właściwsze niż ogólnikowe omawianie problemu na kanwie całego województwa.

M. W.

Rogatki kultury na Śląsku...

U nas na Śląsku Domy Kultury odgrywają główną rolę w propagowaniu i krzewieniu kultury oraz oświaty wśród ludzi pracy. Taka funkcja społeczna jest bardzo zaszczytną, ale zobowiązuje do aktywnej działalności. Jasna rzecz. Po pracy przychodzą robotnicy znaleźć chwilę wytchnienia, poczytać pisma, książki, posłuchać muzyki i pogadanek.

Dlatego słów kilka o złych Domach Kultury, a są i takie:

Miejscowość Łabędy znana jest z budowy wielkiej huty. Tutejszy Dom Kultury posiada piękną salę widowiskową i kilka innych okazałych sal. Lecz cóż z tego, skoro sale są puste! Brak biblioteki, czytelni, stołów, krzeseł i gazetki ściennej, gazet i pism. Nie pracują żadne zespoły artystyczne.

Widnieje na gmachu duży napis: „Dom Kultury". Tyle na zewnątrz, a wewnątrz same cuda: „Wstęp wzbroniony", „Do Wyszynku". „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony", „Kuchnia", „Społeczno-Obywatelska Liga Kobiet Zarząd Powiatowy w Łabędach". Poza tym wspomnienia z jakiejś udanej zabawy (na cele kulturalne) w postaci kilku połamanych krzeseł i stołów, stanowiących zresztą cały inwentarz tutejszego domu.

Ludzie przychodzą czasami do Domu Kultury na zabawę lub w tygodniu zobaczyć objazdowe kino.

Obchodząca niedawno zasłużony jubileusz pięciolecia działalności — świetlica huty im. Stalina w Łabędach, mieści się o 80 m od tego domu. Brak jej pomieszczeń na gabinet techniczny, bibliotekę i prace zespołów artystycznych, a w Domu Kultury na odmianę pustki.

A teraz Pyskowice. Obecnie już rozbudowują się, powstanie tu bowiem w niedalekiej przyszłości osiedle robotnicze. Pewnego dnia niedzielnego można było widzieć, jak do Domu Kultury wtłaczano beczki pełne piwa przy akompaniamencie muzyki z radiowęzła.

To pan Ploch wyprawiał weselisko!

Dziś w tej sali wesele, jutro zebranie, pojutrze nic nie będzie, potem znów zebranie, wreszcie zabawa. I tak sobie w kółko, jak kołowrotek.

Jeżeli „Dom Kultury" w Pyskowicach nie jest placówką kultury, dlaczego w ogóle istnieje, czyżby był niepotrzebny? Takie twierdzenie jest nie słuszne. Ludzie pracy z kopalni czy huty wołają o godziwą i wartościową rozrywkę kulturalną. Potrzeby te muszą spełnić Domy Kultury, jako placówki kulturalne w tym celu powołane do życia. Ażeby należycie spełniały ten obowiązek trzeba kierownictwo Domów Kultury przekazać we właściwe ręce ludzi, którzy potrafią zorganizować życie kulturalne na swoim terenie. Również większą troskę winien okazać Związek Zawodowy. Wtedy nie będzie takich Domów Kultury, jak w Łabędach, czy Pyskowicach.

stwie.

Jerzy Hlond
(Śląskie Koło Młodych Pisarzy)

Dwa dni życia Anieli Bryk

Spróbujcie spytać Anielę Bryk ze wsi Rybaki leżącej w woj. zielonogórskim o najszczęśliwszy dzień w jej życiu... Nie opowie wam ani o wielkieij reformie rolnej, nie wspomni słowem o opuszczeniu na zawsze ciasnej i mrocznej izby czworacznej opatowskiego majątku obszarniczego, w którym spędziła — jakże gorzkie — dzieciństwo. Nie będzie mówić o osiedleniu się w gromadzie Rybki, ani o wprowadzeniu się do nowego, jasnego domku... Przez chwilę popatrzy na was pogodnymi oczyma, uśmiechnie się przyjaźnie i zacznie opowiadać. Wtedy dowiecie się, że w życiu Anieli Bryk były dwa takie szczęśliwe dni, których się nigdy nie zapomina.

Aniela Bryk jest fornalską córką. Jej dzieciństwo — to od 11 roku życia praca we dworze w Opatowie, służba w miasteczku Wieluniu, potem znów u obszarnika. A młodość?... Spójrzcie na te twarde, żylaste ręce. One wam starczą za najbardziej obszerne i wyczerpujące opowiadanie o dniach trudnej walki przeciw wyzyskowi, przeciw zarobkom, starczającym zaledwie na sól i czarny chleb, przeciw gnieżdżeniu się licznych fornalskich rodzin w izbach czworacznych, śmierdzących wilgocią i grzybem. Do dnia wyzwolenia Aniela Bryk w takich czworakach mieszkała...

Po wyzwoleniu osiedliła się wraz z mężem na Ziemiach Zachodnich. W gromadzie Rybaki, jak w wielu innych wsiach, dokonywały się doniosłe przemiany. W historii wsi zaznaczały się poszczególne etapy, tworzące nowe życie. Walczącą, już we dworze „ze starym", Anielę Bryk mogliście zobaczyć pełniącą jakąś rolę w każdym z tych etapów. Powstawała we wsi spółdzielczość samopomocowa... Aniela Bryk była jednym z pierwszych założycieli sklepu spółdzielczego.

Przyszedł etap aktywizacji kobiet... Aniela Bryk pierwsza zorganizowała we wsi Koło Gospodyń, by w należyty sposób pokierować pracą uświadamiającą wśród kobiet.—Brak świadomości politycznej — mówi teraz — był nieraz przyczyną niezrozumienia zachodzących przemian, niedoceniania zadań jakie stawiało i stawia państwo ludowe i Partia przed nami i naszą gromadą. I teraz dowiecie się, że pierwszym najszczęśliwszym dniem córki fornalskiej było otrzymanie legitymacji partyjnej.

Anielę Bryk wychowywała Partia. Walka o nowe etapy życia na wsi, począwszy od kształtowania się spółdzielczości samopomocowej, poprzez aktywizację kobiet, organizowanie życia kulturalno-oświatowego, organizowanie kontraktacji roślin i zakładanie grup producentów — oto elementy, w których należy szukać dojrzałości politycznej Anieli Bryk. W każdym z tych etapów pełniła ona jakąś rolę rewolucjonisty. Rosła — przodując — tak, jak rosła jej wieś...

Ta dojrzałość polityczna włożyła w rękę aktywistki pióro, by nim walczyć na łamach „Chłopskiej Drogi" — o spółdzielnię produkcyjną. Po żniwach rzucą chłopi ze wsi Rybaki stare formy gospodarzenia, zaczną nowy etap w swym życiu, o który tak dzielnie Aniela Bryk walczyła. W gromadzie Rybaki powstaje spółdzielnia produkcyjna. I oto jest drugi najszczęśliwszy dzień w życiu Anieli. Z dumą, dekorowana przez Prezydenta — Kawalerskim Orderem Odrodzenia Polski, — za działalność na terenie swej gromady jako korespondentka „Chłopskiej Drogi", mogła oświadczyć: — Towarzyszu Prezydencie! Nasza gromada zwycięsko kroczy do socjalizmu!

Tadeusz Szewera

Bohater książki krytykuje

Stale czytam „Wieś". „Wieś", jak to się można przekonać choćby z jej ostatniej stronicy, żyje sprawami swoich czytelników. Wiec i ja postanowiłem napisać do „Wsi" w jednej sprawie.

Od roku jestem w Szkole Pracy Społecznej w Łodzi, przedtem byłem robotnikiem na Żuławach. Niedawno kupiłem w Łodzi książkę Władysława Rymkiewicza pt. „Ziemia wyzwolona", mówiącą o moich rodzinnych stronach (mogę już tak powiedzieć, bo kocham tę ziemię; tam w pracy nad jej odbudową stałem się człowiekiem świadomym).

„Żuławy — to ziemia podwójnie wyzwolona: od zalewu hitleryzmu, od żywiołu wód". Tak zaczyna autor książkę o naszej ziemi i widać, że on ją również kocha tak jak i my, którzy wyzwoliliśmy ją „od żywiołu wód".

Dlaczego ja to piszę? Bo książka ta nie mówi jednak prawdy, o tym co było. Wcale czytelnika nie porywa. Akcja w niej toczy się jakoś leniwo. Ma się wrażenie, że przepływa obok jak za matową szybą. A przecież robota przy odwadnianiu była pełna życia i diabelskiej gorączki. Ludzie się męczyli, wysilali, klęli nie raz. Dzięki pomocy Partii rośli, tworzyli kolektyw świadomy swoich wysiłków.

A tego autor nie pokazał. Nie potrafił pokazać roli Partii w życiu i pracy codziennej, mimo, że od czasu do czasu mówi o Partii. Walka z wodą w książce nie wygląda bohatersko — a szkoda, bo wtedy i inni by się uczyli i zapalali, a przecież teraz książka trafia już do nowego masowego czytelnika. Autor nie zrozumiał piękna i radości pracy. Tam wtedy pracowali różni ludzie z całej Polski, a autor nie pokazał, jak to oni się łamali, walczyli ze sobą, stawali nowymi ludźmi (ten inżynier w książce wprawdzie się „zmienia", ale to blado wyszło).

Ludzie są papierowi, nieprawdziwi. Chociaż wierzę, że autor tę pracę naprawdę widział, że był tam, ale w książce wypadło wszystko gazetowo, jak jakie sprawozdanie. I wreszcie czym się kończy książka? Zwycięstwem? Nie! Bo to, że jeszcze tylko 50 pomp należy uruchomić, nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest, że ludzie dojrzeli, że porwała ich ta budowa, to nowe w ich życiu. Tego autor jednak nie pokazał.

No bo i nie mógł w takiej książce pokazać — z jej treści to nie wynika — mógłby najwyżej sztucznie to przykleić. Ja wiem, że to nie łatwo pisać dobrze i że nie każdy potrafi, ale przecież mamy prawo żądać, aby nowe książki były dobre. Bo kiedy się czyta dobrze powieści o swojej robocie, to robi się potem raźniej i człowiek chciałby porwać się do jeszcze większej roboty. Przybywa sił. Ludzie w tej książce rozmawiają dość żywo — tylko trochę tak jakby deklamowali, a przecież jak w życiu kto mówi o Planie 6-letnim to nie deklamuje.

My chcemy naprawdę literatury — bo gazety już mamy i to dobre.

Józef Tatarczuk

By produkcja była wyższa...

Przy jednej ze ścian małego pokoiku — klubu racjonalizatorów — w Państwowych Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Dubois, stoi oszklona gablotka. Na pułkach poukładane, spoczywają modele przeróżnych wynalazków, zastosowanych w przemyśle, a wykonanych przez robotników - racjonalizatorów. Oto „model prasy" opatrzony numerem trzecim, skonstruowany przez starego robotnika z ZPB im. Dubois — Feliksa Kosińskiego. Obok „bijak klejony", także pomysł Kosińskiego. Numerem szóstym oznaczono „haki do wałka z tkaniną", wykonane przez Wacława Pigłowskiego. Dalej pod numerem piątym umieszczono „zderzak sprężynowy", zastosowany przez Wincentego Raczyńskiego i Wiktora Biskupskiego.

Ten zderzak budzi u zaglądających do klubu, racjonalizatorów a także i przyszłych wynalazców — robotników duże zainteresowanie. Wiktor Biskupski jest przecież ich wykładowcą na odbywającym się w Zakładzie kursie dla racjonalizatorów. Pytaniami wprost zasypują Biskupskiego. Najbardziej ciekawym, zadającym najczęściej pytania, jest Wacław Jurzena. Ma już sześćdziesiąt lat, a uczy się jeszcze na kursie. Powiadają o nim, że jest najlepszym „sztubakiem" z całej klasy. A jak umie matematykę, ho, ho!

Jurzena jest ślusarzem. Pracuje w brygadziie remontowej Zakładów Przemysłu bawełnianego im. Hanki Sawickiej. Znają go nie tylko robotnicy tej fabryki. O Jurzenie słyszała caał Łódź robotnicza. Za swoje pomysły racjonalizatorskie został Jurzena przecież oznaczony.

O tych usprawnieniach Jurzeny, mówią wszyscy tu, na kursie. Młodsi koledzy zwracają się do niego po porady, on je chętnie udziela. Kolektywna praca daje przecież zawsze lepsze wyniki.

Kiedy Jurzena, najstarszy słuchacz kursu dla racjonalizatorów z brygad remontowych, opowiada o swych pomysłach racjonalizatorskich, przebija w jego głosie wielka radość. Bo pomyślcie...

Przez wiele lat pracował w fabryce kapitalisty. Nie myślał wtedy o produkcji o jej podniesieniu, o większej wydajności. Nienawidził fabrykanta, szedł „z musu" do fabryki, by zarobić na chleb.

Usprawnienia Jurzeny miały wielkie znaczenia dla Zakładów im. Hanki Sawickiej. Maszyny były stare, jeszcze angielskiej produkcji. Szpulki nie odwijały całkowicie nitek, rwały je, maszyny zacinały się. Wynikały stąd częste postoje, cierpiała produkcja. Do walki o te maszyny ruszył Jurzena. „Kombinował" dotąd, aż były rezultaty. I teraz na starych maszynach osiąga się pełną produkcję...

Wacław Jurzena, sześćdziesięcioletni przodownik i racjonalizator otrzymał odznaczenie. Lecz nie o tym mówi. Jego słowa to zapewnienie, iż wiedzy zdobytej na kursie, na który ma możność uczęszczania dopiero teraz w wolnej, ludowej ojczyźnie, nie zmarnuje. Że uczy się po to, by w dalszej pracy walczyć jeszcze lepiej, wydajniej i ofiarniej o Plan 6-letni. By nowe pomysły racjonalizatorskie podniosły jeszcze wydatniej produkcję naszych fabryk.

Maciej Kobiera

Mamy dość wyzysku!

Wieś Krzaki leży w powiecie sieradzkim. Wzdłuż drogi wiodącej do gminy Brzeźno, usadowiły sią niskie, schludne domki i czysto utrzymane zabudowania gospodarskie. Wieś ta jest duża, liczy około 84 gospodarstw, w większości należących do mało i średnio rolnych chłopów.

W roku 1948 we wsi zaczęto uprawiać zioła, szczególnie miętę. Wówczas z inicjatywy małorolnych chłopów przystąpiono do budowy wytłaczalni olejków. Warunki były dogodne, mały strumyczek przepływający przez wieś rozlewał się tuż za mostem przy drodze w pokaźny stawek. To miejsce nad stawem wybrano pod przyszłą fabryczkę. Wieś poczęła stawać na „nogi", w fabryczce znalazło zatrudnienie wielu spośród miejscowej biedoty. Zioła zaczęły przynosić nadspodziewanie wysokie dochody gromadzie.

Właśnie, choć drobny przemysł wywołał przewrót w całej gospodarce rolnej wsi Krzaki. Chłopi doszli do wniosku, że i uprawę zbóż trzeba poprowadzić w sposób bardziej nowoczesny. Dlatego też ośmiu biedniejszych chłopów z tej wsi założyło w 1949 r. grupę uprawową, do której od razu zgłosiło się 14 mało i średniorolnych chłopów.

Pracę swą rozpoczęła grupa uprawowa już w zimie. Przynajmniej dwa razy w tygodniu zbierali się chłopi w świetlicy w celu szkolenia fachowego. Przerabiano gleboznawstwo, omawiano rejonizację zbóż i jej znaczenie, dyskutowano nad najnowocześniejszymi zdobyczami agrobiologii i agrotechniki radzieckiej. Pustelnik Stefan, Pustelnik Helena, Józef Pokraka, Edmund Lotka, wszyscy członkowie grupy coraz bardziej zapalali się do nowych metod pracy na swoich polach.

Ale ta praca nie przychodziła grupie łatwo. Kułacy oceniający znaczenie grupy jako elementu wiążącego chłopów mało i średniorolnych w całość uniezależniającą się od nich, rozpętali wrogą kampanię. Rządził do „natarcia" młynarz Kowalski, pomagał mu Władysław Pustelnik, pomagali w wrogiej robocie pozostali kułacy i ich zwolennicy.

Kowalski prowadził młyn od wielu lat. W Krzakach nie miał gospodarstwa, znajdowało się ono w sąsiedniej wsi. Obrabiali mu je biedni chłopi, którzy także odrabiali prawo w młynie „dobrodziejstwa" kułaka. Kowalski w tym czasie, kiedy inni mordowali się za niego, łaził po wsi i buntował.

— „Klnę się na Boga" — mawiał — „że taka grupa to połowa kołchozu. Jeszcze blok nasienny, lub grupa plantatorów, to pół biedy. Tam ci bracie dadzą tylko ziarno kwalifikowane, dostaniesz nawozy i więcej cię nie obchodzi. A tu, w tej grupie uprawowej... to i obróbka wspólna i konie wspólne, ziarno dla wszystkich jednakowe. Nic, tylko kołchoz...

Byli tacy w gromadzie Krzaki, którzy wierzyli słowom kułaka. Przestali nawet przychodzić do świetlicy, gdzie odbywało się szkolenie członków grupy uprawowej, choć to ich bardzo ciekawiło. Lecz większość mało i średniorolnych miała dosyć wrogiej kampanii kułackiej. I na Kowalskiego znaleziono sposób. Na jednym z zebrań gromady wystąpiła z wnioskiem o upaństwowienie młyna. — „Nie chcemy płacić kułakowi paskarskich cen za przemiał. Mamy dość jego wyzysku i jego gospodarki. Chcemy by młyn był państwowy, to znaczy nasz" — mówiono. Kowalski próbował oponować, potem zrezygnował z obrony. Wiedział, że przegrał. Pewnego dnia opuścił wieś, przeniósł się do sąsiedniej gromady na gospodarstwo.

Klęska Kowalskiego była jednocześnie klęską wszystkich kułaków gromady Krzaki. Zdemaskowano także ich popleczników. Usunięto z Partii Władysława Pustelnika, który pod wpływem kułaków próbował przeróżnych kombinacji z nawozami sztucznymi. Od razu robota ruszyła raźniej. Zaktywizowało się Koło Gospodyń, które zorganizowało grupę hodowczyń drobiu, 44 członków Związku Samopomocy Chłopskiej założyło grupę hodowców bydła oraz trzody chlewnej. Intensywniej poczęła także pracować grupa uprawowa.

Tak oto w małej wsi Krzaki raz jeszcze potwierdziła się prawda, że motorem dziejów jest walka klasowa. Im ona silniejsza, tym żywszy rozwój. Im rozwój żywszy, tym bliżej do socjalizmu. Chłopi z sieradzkiej wsi powiadają z kolei, że „grupa uprawowa to prawie kołchoz". Myślą już o spółdzielni produkcyjnej.

Andrzej Wera

Pan Pańczyk i jego klika

Obywatel Pańczyk pełni zaszczytną funkcję prezesa Zarządu Gminnego ZSCh w Sławkowie i wchodzi w skład Komitetu Członkowskiego przy sklepie Gminnej Spółdzielni w Niwie pow. Olkusz. Korespondent „Dziennika Polskiego" wyświetlił oszukańcze machinacje Pańczyka. Kiedy na sklep przydzielono mąkę pszenną, wepchnął Pańczyk do ręki chłopom, kupującym mąkę po pół kg. starej, pełnej robaków słoniny na nic już nie zdatnej w formie dodatku. Obawiał się deficytu, czy dużego manka?

Wyczytawszy te „oszczerstwa" Pańczyk zapałał „sprawiedliwym" gniewem, domagał się od redakcji ukarania korespondenta i groził, że poda do sądu. Wołał na wszystkie strony pod adresem korespondenta: „czas z nim skończyć raz na zawsze".

Pańczyk wciąż jeszcze jest „bohaterem pozytywnym" w rozgrywającej się walce klasowej na terenie gminy Sławków. Nie ustąpił jeszcze miejsca ludziom naprawdę oddanym społecznym obowiązkom.

Przyjechały władze zbadać sprawę z Krakowa, ale nic nie zadecydowano. Pańczyk znowu się poderwał do walki z korespondentem. Ułożył pismo, że to nie prawda, co tamten powypisywał, — podpisali mu członkowie komitetu sklepowego i członkowie w Niwie. Więc wyszło szydło z worka.

Cały komitet sklepowy i członkowie — to kumotrzy. Cóż to za jedni?

Pierwsza, Głowaczowa, pani z wielkiego domu, siedząca w rezydencji leśniczówki lasów gromadzkich. Podczas okupacji tu odbywały się bale i uczty na cześć Niemców. Mieli za co wyprawiać i opłacało się wyprawiać. Zabrano chłopom biednym budulec, a dano panu Głowaczowi.

Drugi, to sołtys z czasów okupacji, Bachowski. Dobrze go wszyscy pamiętają, jak wysługiwał się okupantowi hitlerowskiemu, niczem pies. Ile ludzi wysłał na roboty na Zachód.

Aż wreszcie nasz bohater, Pańczyk, pełni w gromadzie funkcję sołtysa. Wszyscy go znają za dobrze i często mówią o nim „lucyper", a ile przy tych słowach płynie ciętych wyrazów, które same wyrywają się z ust. Z gromadą nie potrafi żyć po przyjacielsku.

Tu, gdzie wszystkie funkcje społeczne w gromadzie obsiedli kułacy, Koło ZSCh nie przejawia żadnej działalności i nie ma nic do powiedzenia. Kumoterstwo tak się rozwinęło, że kiedy przyszła nowa partia towarów, to trudno było się zorientować, kiedy rozebrano. Któż temu może zadać ostateczny cios?

Chłopi w Niwie, podnieście głowy wyżej i przetrzyjcie szerzej oczy. Zwalczać dotychczasowe niepowodzenia we własnym niedołęstwie.

(Jerzy Hlond)

Nauczyciel, młodzież, robotnicy i...

Oto szkoła w małej podhalańskiej wiosce — **Ponice.** Po raz pierwszy w jej dziejach rusza do średnich szkół — 8-miu absolwentów. Przed wojną była w Ponicach jedynie nisko zorganizowana, przysłowiowa szkółka galicyjska. Przesunięcie grupki młodzieży z maleńkich Ponic do powiatowego miasta nastręczało wiele kłopotów. Trzeba było uzyskać odpowiednie informacje, pisać podania, gromadzić potrzebne załączniki, przygotować młodzież do wstępnego egzaminu. Nikt tego wszystkiego załatwić na pozór nie mógł. Chłopi zajęci pracami w polu, przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego **Franciszek Czupła** współzawodniczy w akcji kontrakcyjnej, pilnuje więc owsa i jęczmienia jak oka w głowie. Zresztą, jak wielu starych chłopów z byłej Galicji, nie bardzo i wierzył, aby się udało komuś z Ponic cokolwiek w powiecie załatwić. A jednak wszystkie formalności mają już młodzi absolwenci poza sobą. Miejsce w internacie jest, stypendia zapewnione, jeszcze tylko egzamin w Zakopanem. Nauczycielka z Ponic — **Irena Pokrywowa** dowiodła, że prawdziwa troska nauczyciela o młodzież nie może zamknąć się w murach szkolnych, zwęzić do jednostki lekcyjnej. Troska nauczyciela o młodzież towarzyszy absolwentom aż do szkoły wyższej.

Z **Mińska Mazowieckiego** donoszą, że z pełnym sukcesem składali tam egzaminy dojrzałości — „cisi bohaterowie na codzień" — robotnicy. Zdobył maturę kol. **Bogusz** — kierownik SOM z Cegłowa, pow. wołomińskiego, kol. **Szuba** — tokarz z Mińska, kol. **Gromulska** — nauczycielka wiejska z powiatu mińskiego i inni.

Zakończył się rok szkolny, czas najwyższy pomyśleć o nadchodzącym. Trzeba będzie niejedno usprawnić, ulepszyć organizację pomocy szkolnych dla uczącej się młodzieży. Tegoroczne grzechy w tym zakresie nie mogą się powtórzyć. Spółdzielnie gminne powinny zadbać o sprowadzenie z central odpowiednich ilości zeszytów, ołówków, atramentu itd. Dobrze byłoby również, aby po podręczniki nie jeździła nasza dziatwa do powiatu. Książki te mogą przecież rozprowadzać spółdzielnie.

Szczególne wszakże błędy popełniła Centrala Zaopatrzenia Szkół. Bohaterscy robotnicy Wytwórni Chemiczno-Mineralogicznej w Bytomiu wykonali z nadwyżką plan produkcji pomocy szkolnych dla młodzieży. A słynny już dziś z niedołęstwa i lekceważenia zarówno wysiłku robotniczego jak i potrzeb szkoły CEZAS (właśnie owa centrala) w ogóle pomocy szkolnych nie rozprowadziła. „Nie odebrana przez Cezas produkcja z roku ubiegłego oraz bieżącego — piszą bytomscy robotnicy — wypełniła całkowicie magazyny wytwórni i na skutek tego będzie wytwórnia zmuszona wstrzymać produkcję".

I tak się to dzieje — wysiłek robotnika, nauczyciela i młodzieży usiłuje zmarnować biurokrata. No a tego w przyszłym rok szkolnym być nie może. Nie powinno było zdarzyć się i w minionym.

Jan Biegala

KSIĄŻKI NADESŁANE

J. Stalin — Referat sprawozdawczy na XVII Zjeździe Partii o działalności KC WKP(b) — str. 101.
J. Stalin — Referat sprawozdawczy na XVIII Zjeździe Partii o działalności KC WKP(b) — str. 78.
Komuniści włoscy i francuscy w walce o pokój — str. 258.
Teodor Floriański — Naród włoski w walce z imperializmem amerykańskim — str. 141.
Roger Garaudy — Literatura grabarzy — str. 86.
ZSRR — kraj socjalizmu. — Walka o zwycięstwo socjalizmu — str. 138.
Nina Rydzewska — Ludzie z węgla — str. 222.
A. Ścibor-Rylski — Węgiel — str. 295.
Ewa Szelburg-Zarembina — Małgorzata Fornalska — str. 46.
G. Tuszkan — Dżura — str. 450.
J. Wsiewołożski — Okręty odpływają — str. 294.
Alex Wedding — Ocean Lodowaty wzywa — str. 163.
W pułku — str. 156.
R. Juryś — W. Milczarek — Spotkania — str. 67.
Torpedowa salwa — str. 62.
Z walk Ludowego Wojska Polskiego — 16 drzeworytów Stefanii Dretler-Flin.
Józef Mazurek — Zaprawa marszowa — str. 59.
Willi Bredel — Otzhausen — str. 105.
P. Szebunin — Na wysuniętej placówce — str. 131.
G. Karajew — Stalingrad. miasto bohaterskie — str. 97.
L. Przemski — Wrażenia z pobytu w N. R. D. — str. 61.
Stare i nowe Chiny — str. 302.
N. Stieczissin — Saperzy — str. 118.
W. Wojewodin i E. Ryss — Sztorm — str. 389.
W kleszczach dolara — str. 64.
W. Ażajew — W tajdze — str. 73.
O radzieckiej nauce wojennej — str. 159.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12, tel. 40180—90
Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7,
Prenumerata i Kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12 tel. 504-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-87, wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3—zł; kwartalnie 9—zł; półrocznie 18—zł; rocznie 36—zł;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa I — ...
RSW „Prasa" Warszawa Marszałkowska 3/5 2-B-33271